

Od autora:

Przedstawione osoby, fakty, zdarzenia są autentyczne.
Dotyczą okresu 1940 - 1945 r.

Pracę poświęcam wszystkim tym deportowanym,
których mogiły rozsiane na trasach przejazdu
i w stepach Kazachstanu zostały zapomniane.

Jan Stanisław Tumiłowicz.

P O L E S I E

Przez otwarte okna mego domu wpływało, świeże czyste poranne powietrze, z dodatkiem zapachu ogrodowych kwiatów. Kwitły bzy, jabłonie, pękały biało - kremowe kwiaty jaśminu. Budził się dzień. Duża czerwona kula słońca powoli wytaczała się w górę oświetlając ciepłym różowym kolorem nasz sad, szczyty płotu i długą werandę, w której rzędem ułożone kolorowe okienka, w pryzmaty zapaliły na przeciwległej ścianie barwy tęcz.

Niedawno zbudowany dom z modrzewiowych, sosnowych i jodłowych drzew pachniał jeszcze żywicą lasu. Kończył się maj 1938 r.

Przed oknami przelatywały ważki.

Na werandę wleciał ^{motyl} "paź królowej", szybując majestatycznie wzdłuż korytarza. Wielkie koło zatoczył trzmieł po pokojach i przeciągle bucząc znikł w czeluściach ogrodu.

W pokojach na przemian "rozmawiały" 2 budziki stojąc na obrusach białych ręcznie haftowanych. W głównym pokoju królował świeży bukiet róż w wysmukłym przezroczystym wazonie. Wszyscy jeszcze spali. Leżałem w czystciutkiej świeżej pościeli przypominając sobie wczorajsze zabawy z dziećmi na kocu w ogrodzie. Tam stała też moja drewniana hulajnoga. Wolno nam było biegać po drózkach chować się za drzewa, gdzie wisiąca nasza huśtawka. My dzieci nauczyliśmy się szanować każdą roślinkę, i żywe stworzonka. Tego uczyli nas Rodzice, dziadek i babcia.

Naszą miejscowość Hancewicze, które stawały się małym cichym tonącym w zieleni miastem kochałem. Tu przeżywałem szczęśliwe

dni mego dzieciństwa upajając się pięknem otaczającej nas przyrody. Dróg było w mieście nie wiele, czasem przyjechał ktoś furmanką, rzadziej pojawił się samochód. W tym czasie nie było telewizorów, budowano pierwsze radia.

Hancewicze otaczał płaszcz majestatycznych borów leśnych i bagien z najzasobniejszym miejscem na świecie żurawin, ciągnącym się długim pasmem aż pod Baranowicze.

Żyło tu w zgodzie razem wiele narodowości: polskiej, żydowskiej, ~~rosyjskiej~~ ^{rosyjskiej}, białoruskiej, ukraińskiej, tatarskiej, litewskiej. Wszyscy ~~nie~~ zdawali z tego sprawę, że ten pas wschodni stanowił coś w rodzaju buforu, między ZSRR a Polską ~~i~~ ^{jako} stanowił smaczny kęsek dla obu stron.

Ten zlepek narodowości tworzył nierozzerwalną całość, żyjącą zgodnie i szczęśliwie.

Mieszkańcy starali się poznać różnorodne języki i sprawiali obopólnie sobie radość mogąc porozumieć się doskonale.

Odrębną grupę etniczną stanowili Poleszucy, których chaty były rozrzucone wśród bagien oczeretów i kniei leśnych. Charakteryzowali się wielką prostotą życia jak też niespotykaną gościnnością. W lecie mężczyźni ubierali się w lniane przez siebie wytwarzane samodziały, przepasane kolorowymi pasami. Nosili też zamiast butów łąpcie plecione z lipowego łyka. Dziewczęta na swoich ubiorach wyszywały kolorowe motywy roślinne, nosząc na głowach barwne chusty, spod których wystawały grube warkocze włosów. Zimą nosiły kurtki z sarnich, jelenich skór, rzadziej z tchórzy czy gronostajów.

Bo zwierząt, roślin, ptaków, jagód i grzybów, czy ryb był tu

wielki dostatek jak zwykliśmy mówić. Dziwna to była grupa ludzi zabobonna, przesądna wierząca w duchy leśne i bagienne. Bory złożone ze starych wieloletnich drzew rzeczywiście tworzyły nastrój majetatu, wśródleśne jeziora zwłaszcza nocą zapalały nad

lustrem wód ogniki metanu, a głos puchacza dodawał tym miejscom tajemniczości. Poleszucy zajmowali się rybołóstwem, zbieractwem, rzadziej hodowlą, Spotykaliśmy ich z pełnymi koszami żywych raków lub jeszcze trzepocących się dużych ryb nawleczonych za oskrzela na wiklinowe witki. Wśród bagien poruszali się zreźnie - skacząc przy pomocy długich kijów z kępy na kępę wśród bulgocącej wody,

Czasami w wielkiej ciszy płynęli małymi łodziami odpychając się od brzegów tymi kijami. Mowę mieli śpiewną, a pięknymi pieśniami na spore odległości potrafili wyswatać nie jedną młodą parę. Tu przeżywałem największe wzruszenie duchowe wsłuchując się w coraz to nowe melodie śpiewane na głosy grupowo.

W Hancewiczach mieszkańcy byli samowystarczalni. Zasobniejsi uruchamiali małe sklepiki z wielką różnorodnością towarów, w handlu najlepsi to Żydzi. Niektórzy tworzyli drobne zakłady wytwórcze, innym wystarczyły para krów, kilkadziesiąt kur, i drobna posiadłość państwowa.

Zaczynał się normalny poranek. Moi Rodzice wstali, odmówili krótką modlitwę poranną, Obudziły się także siostry, które biegały po skórach *DZICZYCH*, jelenich ułożonych przy łózkach. Wkrótce wszyscy siedzieli przy stole pijąc świeże jeszcze ciepłe mleko dopiero co wydojonej przez Mamę krowy. Na talerzach leżały kromki chleba pieczonego w naszym domu - razowego, ze świeżym masłem, miodem, powidłami.

Przed każdym posiłkiem żegnaliśmy się. Przy stole obowiązywało zachowanie ciszy.

Tatuś był leśniczym rozległych terenów Polesia. Ściany domu zdobiły liczne trofea poroży, a szafy wypełnione były licznymi skórami tchórzy, czy gronostai. Coraz częściej jednak wszystkie chwile poświęcał fotografice. Wkrótce powstało studio fotograficzne, jedyne w Hancewiczach, dając duże dochody. Na polowania przyjeżdżały dość często grupy dygnitarzy z różnych państw: Niemiec, Austrii, Anglii, Belgii, Włoch, Rosji - towarzyszyły tym grupom wykwintne damy i większość z tych osób chciała mieć pamiętkowe zdjęcia.

Coraz częściej więc i moja Mama pomagała w ciemni fotograficznej, nawet opanowała technikę retuszu.

Wkrótce Tatuś zrezygnował z funkcji leśniczego, zajmując się wyłącznie zakładem fotograficznym.

To dzięki tej wytężonej pracy Rodziców mieliśmy prawdziwy dobrobyt. My dzieci, przeżywaaliśmy prawdziwe miłe dzieciństwo, bawiąc się w ogrodzie z naszymi rówieśnikami i dziećmi wielonarodowościowego pochodzenia.

Opiekunka nasza Mila dbała o to, aby nikomu z nas nic nie brakowało, to była pełnia miłego dzieciństwa.

Zdarzały się czasem swary dziecięce - to ktoś sypnął komuś piaskiem we włosy, to odebrał zabawkę, ale Mamy obu stron zaraz te niesnaski łagodziły.

Jedna wносиła macę, druga cukierki mówiły do siebie z uśmiechem "pani daruje ale to dzieci".

W tym czasie ceniono wysoko honor własny, zachowywano kulturę i dobre obyczaje sąsiedzkie. Absolutnie nie używano brzydkich

wyrazów. Z wielkim pietyzmem wszyscy odnosili się do otaczającej ^{nas} przyrody.

Miałem 6-ty rok szykowałem się do szkoły. Coraz częściej próbowałem poznawać litery w elementarzu, cieszyłem się z zakupionych dla mnie przyborów szkolnych, przekładając je raz po raz w nowym tornistrze. Przymierzałem ubranka szkolne gotowe także. Cieszyliśmy się tym, że mogliśmy z naszego sadu zrywać własnoręcznie dojrzałe, śliwki, jabłka, gruszki, które zjadaliśmy ^{wszyscy} ze smakiem.

Wkrótce nadeszła złota piękna jesień. Mijał powoli rok 1938. Klucze żurawi obserwowałem z zainteresowaniem jak odlatywały gdzieś na południe. Wreszcie doczekaliśmy się upragnionych Świąt Bożego Narodzenia.

Zjechała się cała nasza Rodzina z Baranowicz, Lidy, Stołpc, obszerny dom pomieścił bez trudu 13 osób. Na stole 12 dań wigilijnych. Niezapomniany nastrój oczekiwania 1-szej gwiazdki.

Wielkie przeżycie wielkiej chwili wigilijnego spotkania. Wszyscy starsi po spowiedzi i komunii Świętej. Wspólna modlitwa przy stole wigilijnym na stojąco. Bielutki obrus, a pod nim garstka sianka, zapalone świece. Dzielimy się opłatkami, dużo ciepłych serdecznych życzeń. Ceremonię wigilijną prowadzi Babcia. Po spożyciu posiłków, wspólne kolędy do 12-tej w nocy, w przerwach dla każdego prezent z pod choinki. Potem Pasterka. W kościele odczuwamy wielką wspólną jedność.

Ostatnia nasza Wigilia w pełnym szczęśliwym gronie rodzinnym.

Dni niepokoju.

Uczyłem się trzymać ołówek w ręku, próbowałem stawiać pierwsze niekształtne litery nazywane przez starszych „kałafonami”.

Szybko minął Nowy Rok 1939. Trochę zawiei śnieżnych w lutym ale w domu ciepło. Nasz kochany Dziadunio opowiadał wieczorami ciekawe bajki.

Na początku kwietnia odczuwaliśmy już zapach wiosny. Ale nikt z nas nie sądził, że będzie to ostatnia nasza wiosna w gnieździe rodzinnym.

Tak jak co roku zakwitły kwiaty, ale wkradał się jakiś niepokój. Coraz częściej mówiono o wojnie to z Niemcami, to znów z Rosjanami. Mieszkańcy Hancewicz budowali schrony. Gromadzili suchary. W lipcu zaczęły się tworzyć różne grupy bojowe, oddziały młodzieży uzbrojone w pałki, noże, karabiny. Zaczęły przejeżdżać przez Hancewicze grupy kawalerzystów, maszerowały oddziały wojska.

Narastał ogólny niepokój.

Starszyźnie żydowskiej wychodzącej z Bożnicy grupy chłopców, oblewa ~~li~~ naftą i podpalali brody.

Na początku sierpnia widzieliśmy liczne tabory. Zaczęto zamykać i opuszczać sklepy.

Pewnego popołudnia w 2-giej połowie sierpnia Tatuś otrzymał czerwoną kartę mobilizacyjną do wojska. Długo klęczał z Mamą w 2-gim pokoju modląc się o szczęśliwy powrót do domu.

Siedliśmy do ostatniego wspólnego obiadu. Tatuś był dla nas w tym dniu bardzo serdeczny, brał nas na kolena, przytulał. Całował i wreszcie odezwał się do Mamy tak " Kochana Jadziu nie wiem czy wrócę idę na wojnę z Niemcami, opiekuj się dziećmi "

"Miałem opowiedzieć krótko historię mojej Rodziny. Ojciec mój **SZYMON** i matka **ZOFIA** byli ziemianinami, mieli dobra ziemskie i majątek w Borsukowej Grzędzie, woj. Mińsk. podczas rewolucji zostali aresztowani przez Wojska Radzieckie, wywiezieni w głąb Rosji, skazani i rozstrzelani.

Ja jako 15 letni chłopiec w tym czasie byłem poza domem i cudem uratowałem się.

Całe pół roku chowałem się w głębokiej studni, dzięki dobrym ludziom mocno z rodzicami zaprzyjaźnionym, to oni dawali mi jeść w wiadrze, a w nocy w wiadrze wyciągali mnie na wierzch żebym mógł załatwić swoje potrzeby i wyprostować się, Tam w wykopie boczny siedziałem w pozycji zgiętej, po demną była woda".

Po tych słowach Tatuś pożegnał się z nami wszystkimi i wychodząc powiedział "zostańcie z Bogiem". Wówczas jeszcze nie wiedziałem że więcej ojca żywego nie zobaczę.

Mama po cichu popłakiwała - bo spodziewała się dziecka - została teraz z nami trojga.

Wprawdzie nasza piwnica była bardzo obszerna i głęboka pełna jeszcze wędlin, kiełbas, boczku, miodu, kasz, cukru, mąki, przetworów i przygotowanych sucharów, Krowa dawała mleko, a kury niosły się, mieliśmy też studnię na podwórku.

Jednak - nie można było wziąć już pieniędzy Tatusia z banku (a zapas ich w domu był niewielki). Niebezpiecznie też było wychodzić do miasta. Coraz więcej różnych grup ludzi przemieszczało się, jechało gdzieś, uciekało.

Wówczas też jeszcze nie wiedzieliśmy, że pod koniec sierpnia został zawarty ~~układ~~ układ Niemiecko - Radziecki Ribbentrop - Mołotow przesądzający o Polsce, Litwie, naszych granicach i wolności

Ceny żywności gwałtownie wzrosły. Nie wychodziliśmy już na ulicę. My dzieci obserwowaliśmy przez szpary naszego płotu - jak coraz częściej szły oddziały polskiego wojska, jechała kawaleria, tabory. Kończył się sierpień 1939 r.- do szkoły nie poszedłem.

Wojna

1-go września rano ulice Hancewicz opustoszały, zapanowała dziwna cisza. Każdy słuchał komunikatu o przekroczeniu przez Niemcy granic Polski i rozpoczętej wojnie. Wszyscy uklękliśmy i modliliśmy się.

Mama odezwała się "módlmy się dzieci - zostałyśmy same jest wojna."

Zaczęły przelatywać nad Hancewiczami niemieckie samoloty. Spadły pierwsze bomby, niedaleko stacji kolejowej. Pierwsi zabici i ranni, jacyś młodzi chłopcy i kobieta. Całą noc nie spałem. Nad ranem - w oddali - to Niemcy bombardowali dworzec centralny w Baranowiczach - odległy od Hancewicz ok. 50 km.

To dobrze, że przed bombardowaniem, wyjechali w naszą stronę: Babcia Bubień Emilia, dziadek Józef i ich syn Bubień Tadzio, oraz 2-gi syn Bubień Stach z Lidy z Ciocią Irką, Mamy siostra Ciocia Lucia Gilejko z synem.

Wszyscy zjawili się u nas w Hancewiczach, tu spędziliśmy Święta Bożego Narodzenia.

Dowiedzieliśmy się, że i Ciocia Gilejko spodziewa się dziecka.

Teraz widzieliśmy prawdziwy bezład i chaos. Dniem i nocą jechały furmanki konne z rannymi żołnierzami polskimi, szły oddziały wojska polskiego.

Ranni, pokrwawieni, zabandażowani, krzyczeli słabym głosem "Jeszcze Polska nie zginęła".

Ludność wyносиła im co miała: chleb, suchary, mleko, dziękowali skinieniem głowy.

Coraz częściej w dzień z niemieckich samolotów terkotały karabiny maszynowe. Ludzie padali do rowów, pod drzewa. Po przelocie samolotów słychać było jęki rannych.

Wieczorem chodzili "granatowi" policjanci przypominając o obowiązku zaciemniania okien. Tadzio Bubień (Mamy brat) skonstruował kryształkowe radio i nasłuchiwał cały czas komunikatów - powiadał wszystkim "Niemcy idą w głąb Polski, Warszawa broni się". Wiele nocy nie mogłem zasnąć wsłuchując się w dźwięki lecących nad nami samolotów.

Utrata wolności

17 września o świcie, zauważyłem wielki niepokój panujący w rodzinnym domu.

Byłem zaspany, przewróciłem się na drugi bok. Usłyszałem jednak przyciszone rozmowy dorosłych, którzy zgromadzili się przy oknach, patrząc poprzez firanki na ulice Hancewicz. Zerwałem się z łóżka biegnąc boso w stronę okien i tam usłyszałem głos babci "to Rusczy". Po ulicach szły gęsto patrole pieszych żołnierzy, z karabinami gotowymi do strzału. Kilku z nich zbliżając się do naszego płota, bagnetami zrzucili z jego szczytu zawieszony, suszący się gliniane garki po mleku. Rozbijając je, skwitowali to śmiechem. Zauważyłem u żołnierzy spiczaste czapki z czerwonymi gwiazdami.

Babcia westchnęła " Antychrysty " szepnęła " Ja ich znam ". W tych słowach zamykał się okres poprzedni wieloletnich cierpień i poniewierek z okresu rewolucji. Wkrótce pojawiły się oddziały konne. Jeźdźcy posiadali szable, karabiny, przepasani byli wieloma pasami naboju, po bokach jak Tadzio Bubiń rozpoznawali mieli granaty.

W ślad za nimi jechały tabory, karabiny maszynowe, niewielkie działa. Tak staliśmy przy oknach, a oni szli jak jakaś masa szarańczy.

Już i czas śniadania dawno minął, zbudziły się moje siostry Teresa i Justyna, Cioci Gilejko syn Ryszard.

A starsi powtarzali " wojna bez wypowiedzenia utraciliśmy wolność, Boże daj przeżyć ". Nagle usłyszeliśmy serie z karabinów maszynowych i pojedyncze strzały od strony lasu.

Ulicą 3 - domy dalej chyłkiem przechodziło kilku polskich żołnierzy z rozbitych oddziałów, zostali na naszych oczach rozstrzelani. Nie mogłem zrozumieć za co. Strzelano również do każdego kto próbował przedostać się na drugą stronę ulicy.

Coraz częściej słyszeliśmy serie karabinów maszynowych w Hancewiczach, a zwłaszcza od strony lasu. Strzelanina trwała do zachodu słońca. To zabijano polskich żołnierzy z rozbitych w walkach z Niemcami oddziałów. Chcieli oni przedostać się na bagna i do lasu, aby uratować życie.

Późnym popołudniem ^{ciężko} ranni żołnierze polscy, znający język rosyjski byli wzięni na wozach na przesłuchanie do NKWD w Hancewiczach. Pokrwawieni, umierający, wołali słabymi głosami "Jeszcze Polska nie zginęła", karceni przez eskortujących żołdaków ostrzami bagnetów.

Wprowadzony został zakaz wychodzenia z domów. Na drugi dzień po mieście gęsto chodziły patrole żołnierzy sowieckich z karabinami gotowymi do strzału. Wyłapywano resztki żołnierzy polskich, których ze związanymi do tyłu rękami wywożono w nieznanym kierunku.

Wkrótce ogłoszono obowiązek dla mieszkańców, stawienia się na licznych codziennych zebraniach, tych którzy przyjść nie mogli uznano za wrogów. Wyznaczeni zostali dzielnicowi, którym polecono dokonać spis imienny mieszkańców, z podaniem pochodzenia, narodowości, zawodu, z określeniem czym się trudnią. Tłumaczono to koniecznością przydziału racji żywnościowych.

Zamknięte zostały sklepy, zlikwidowany rynek w Hancewiczach - uznany za miejsce spekulacji. Wystosowana została obszerna odezwa w języku rosyjskim, w której zapewniano o przyjacielskich zamiarach. Głośno informując wszystkich, że wojska weszły po to na te tereny, aby wyzwolić ludzi od ciemżycieli i wyzyskiwaczy i dać im prawa i wolność.

Coraz częściej następowały nocne aresztowania i wielodniowe przesłuchania w NKWD.

Część aresztowanych nie powracało do domów. Nadal panował zakaz wychodzenia po zmierzchu. ^{Wielu} ~~Część~~ mieszkańców nie mogąc zdobyć pożywienia głodowała.

Brak wolności działa przygnębiająco.

Ogłaszano - obowiązek stawiania się do prac publicznych w mieście, Wyłapywani byli szczególnie mężczyźni, których w trakcie prac także aresztowywano, wywożąc w nieznanym kierunku. NKWD próbowało skłócić dotychczas żyte grupy etniczne ludzi, stosując informacje, że ziemia jest własnością wybranej narodowości, "choć

dotąd takich roszczeń nie było. Tłumaczono, że brak żywności, pracy dla wszystkich, odzieży, ograniczenie swobody i wolności są przejściowe - były to dobrze przygotowane kłamstwa. Na stanowiskach w urzędach znaleźli się kryminaliści wypuszczeni z więzień, którzy przygotowywali denuncjacje dla NKWD, rewizje połączone z zaborem mienia i kosztowności poszczególnych rodzin.

W połowie listopada 1939 r. pozrywano polskie godła i szylidy.

Z okolicznych borów potężne pojazdy gąsienicowe nieprzerwanie wyciągały wielosetlenie wycinane drzewa, które ładowane były w Haucewiczach na stacji i wysyłane do ZSRR.

Mieszkańcy po cichu szeptali, słowa "dewastacja, rabunek".

OSTATNIA WIGILIA NA ZIEMI OJCZYSTEJ.

2-go listopada 1939 r. urodziła się moja siostra Tumilowicz Helena, a parę tygodni wstecz, przybyło także niemowle u ³mojej siostry ²Lucji ¹Gilejko - Brat cioteczny otrzymał na imię Zbyszek. Zdążyliśmy jeszcze je ochrzcić. W Kościele coraz więcej spotykaliśmy ludzi zapłakanych, którzy utracili swoich bliskich podczas aresztowań przez NKWD. Nieliczni, którym udało się powrócić z przesłuchań opowiadali o nieludzkich metodach ślesztwa. Głodzono ich od 3 - 4 dni, bito, budzono od 10 do 20 razy w nocy, trzymając w nieogrzewanych pomieszczeniach, nie dawano żadnego pośłania. Podczas przesłuchań, prowadzonych na zmianę przez oprawców zmuszano do licznych, fałszywych zeznań wygodnych dla NKWD, ~~które~~ ^{one} stawały się pretekstem do skłócenia z sobą licznych znajomych.

Mimo radości wniesionych do naszego domu przez niemowlęta - panowało przygnębienie.

Z bardzo zasobnych piwnic naszego domu wyczerpywała się żywność. Obiegowym pieniądzem stał się rubel.

Zakład fotograficzny przestawał dawać dochody, nikt nie przychodził do zdjęć. Nawet te, które Rodzice wykonali nie zostały odebrane.

Mieliśmy też następne zmartwienie. Cioci (Gilejko Łucji) mąż Janek - z zawodu kolejarz, pełniący funkcję kierownika pociągu, nie powrócił do domu przy odprawie pociągu do ZSRR w nadgranicznej byłej stacji polskiej w Stołpcach. Nie odezwał się także mój tatuś.

Kupiliśmy u gajowego choinkę, przyniósł nam do domu, znów zapachniało lasem.

Bardzo uroczyście szykowaliśmy się do Wigilii. Wszyscy zgromadziliśmy się tu w naszym domu. Brat starszy Mamy Bubień Stanisław oświadczył, że musi podjąć pracę, inaczej rodziny nasze nie przeżyją. W tej sytuacji tylko on miał szansę, znał języki rosyjski i niemiecki, 2-gi jego brat Tadeusz gimnazjalista miał zaledwie 17 lat.

Młode mamy karmiły piersią parę razy dziennie niemowlaki, nie mając gdzie kupić mleka. Zresztą babcia twierdziła, że to dla małego odporność przeciw chorobom na wiele miesięcy.

Wreszcie nadeszła oczekiwana chwila, wieczór wigilijny 1939r. Biały obrus ozdobiony jodłowymi gałązkami, po środku stołu pod garstką siana ułożonego pod obrusem, na talerzu spoczywał opłatek, a obok zapalone świece.

Przy stole razem z niemowlętami 12 osób. Złożyliśmy sobie najlepsze życzenia poprzedzone modlitwą, prowadzoną przez babcię i dziadka.

Podzieliliśmy się opłatkiem.

Zamknęliśmy okienniceienne. ~~Na stole~~ *Na stole* zjawilo się smakowitych 12 dań, różnych potraw, ~~na stole~~ - zapłonęły świece na choince zapalone przez Tadzia.

Wujek Stach zaintonował kolędę "Bóg się Rodzi", następną „Wśród nocnej ciszy”, "Gdy się Chrystus Rodzi". Spiewaliśmy wszyscy w podniosłym nastroju pełnym czystym głosem. Tu odczuwaliśmy naszą jedność rodzinną i wolność.

W pewnym momencie usłyszeliśmy łomot do drzwi i okien z bluźnierstwami rosyjskich słów, przekleństwami i żądaniem zaprzestania śpiewu. Łomot wzrastał się.

Uznaliśmy to zdarzenie za pogwałcenie naszej wolności, uczuć religijnych i polskości.

Jeszcze przed świętami aresztowano w Hancewiczach i wywieziono w nieznanym kierunku parę rodzin polskich, domy ich zajęło wraz z mieniem na kwatery NKWD.

Uznaliśmy to zdarzenie za ostrzeżenie dla nas. Klęcząc na kolanach modliliśmy się w ten wieczór Wigilijny o lepsze jutro dla Polski i dla nas.

W obawie przed represjami nie poszliśmy na pasterkę, ~~Na~~ *Na* drugi dzień dowiedzieliśmy się, że kościół został zamknięty na tę noc, ~~W~~ *W* dzień jednak przepełniały go tłumy wiernych. Na ulicach chodziły nadal liczne uzbrojone patrole wojsk sowieckich.

Początek sowieckich represji.

Przywitaliśmy Nowy Rok 1940. Wiedzieliśmy, że tam za Bugiem na zachód Polska dźwiga ciężar okupacji niemieckiej.

Nieliczni uciekinierzy z tamtej strony, wyłapani na naszej stronie przez NKWD, ^{ich} Skazano na rozstrzelanie, ^{uznani} jako szpiedzy zdołali swoim znajomym przekazać wiadomości o planowanych obozach zagłady, pracach przymusowych, wcieleniach do wermachtu Polaków i tworzącym się ruchu oporu.

Nieszczęśników, wkrótce rozstrzelano, nie uznając ich wyjaśnień, (w dodatku nie potrafili oni udokumentować tego, że są niewinni.) Żadne poświadczenia pisemne ich znajomych nic nie pomogły, NKWD - natomiast przeprowadziło u tych osób niezwłocznie rewizje.

Nowy Rok 1940 obfitował w liczne rewizje, przesłuchania, aresztowania i wywózki w nieznanym kierunku. Akcję tą zapoczątkowano w styczniu.

Wywiadowca z NKWD

24.I.1940 r. wykonaliśmy wspólne zdjęcie rodzinne na ganku naszego domu, nie wiedzieliśmy że będzie ono ostatnim z Hancewicz:

Na zdjęciu brak było Jana Gilejko - aresztowanego w poprzednim roku przez NKWD podczas odprawy pociągu kierowanego do ZSRR z Polski. Wyrok dla Niego brzmiał 8 lat. Więzienie z zesłaniem poprzez Archangielsk pod Wyspy Kużyłkie na Kałyńię. Co się z nim stało nikt z rodziny naszej nie wiedział, aż do roku 1942.

W końcu lutego 1940 r. odwiedził nasze studio fotograficzne w Haucewiczach młody NKWD-zista ; pod pozorem chęci wykonania

zdjęcia. Rozejrzał się po pokojach stwierdzając po rosyjsku "ładnie tu u Was". "Gdzie mąż?" zapytał.

Odpowiedź mojej Mamy brzmiała "poszedł w 1939 r. na wojnę i nie wrócił".

Po wykonaniu zdjęcia nie zgłosił się po odbiór. Babcia uznała tą wizytę ^{za} jako złowróżbną.

W tym samym miesiącu został zamknięty przez NKWD nasz kościół w Hancewiczach.

Wkrótce aresztowano w nocy i wywieziono w nieznanym kierunku całą rodzinę naszych sąsiadów. Szczęśliwie minął miesiąc marzec. Zima wyjątkowo ostra, w nocy spadki temperatur dochodziły do -39°C - 41°C, wskazywał to nasz termometr zawieszony za oknem.

Po naradzie rodzinnej - ^{Mama} ~~Moja~~ spaliła całe 2 szuflady zdjęć bez wątplenia o znaczeniu historycznym i dokumentalnym.

Aresztowanie

Tej nocy do dziś nie mogę zapomnieć. Pojawia się ona w moich snach w różnych wizjach - jak zrzucone gniazdo ptasie, zgliszcza z mego domu, czy wyrzucenie nas nagich dzieci w zawieję śnieżną i pozostawienie bez żadnej pomocy. Budzę się z jękiem i wówczas z ulgą stwierdzam, że jestem w Polsce.

A było naprawdę to tak:

Późnym wieczorem 10.IV.1940 r. Babcia moja piekła dla całej rodziny chleb. Mama i Ciocia usypiały niemowlęta, które nie chciały usnąć, śpiewały więc wspólnie półgłosem piosenki, poruszając jednocześnie stojące obok siebie kołyski.

Usnąłem także.

Przeraźliwy łomot do naszych drzwi wyrwał nas wszystkich ze snu, w pokojach wszystkich było ciemno.

Usłyszeliśmy niekończący się stek przekleństw w języku rosyjskim z poleceniem "otwierać" ("otkroj ").

My wszystkie dzieci zerwałyśmy się z łóżek, a moje młodsze siostry Teresa i Justyna, wraz z niemowlętami zaczęły głośno płakać.

Babcia zapaliła światło. Mama biegła boso w koszuli nocnej otworzyć drzwi. Dopiero niedawno położyły się spać.

Rozległy się także uderzenia w okiennice okien. Mama drżącymi rękami próbowała wyciągnąć zasuwę drzwi, po otworzeniu zamka, ale napór z zewnątrz był tak silny, że nie mogła otworzyć.

Wreszcie drzwi ustąpiły. O mało dwaj żołdacy uzbrojeni w karabiny z ostro postawionymi bagnetami Mamę nie przebili, ledwo też utrzymała równowagę, wepchnięta z przedsionka & z rozpędu do pokoju. Za nimi wpakował się bez ceremonii NKW-dzista z pistoletem w rękę gotowym do strzału. Drzwi na dwór pozostały otwarte na oścież. Przenikliwy ziąb wtargnął do wszystkich pokoi. Pamięcią teraz wracam do tych chwil grozy i jak na filmie widzę je.

Babcia z dziadkiem stoją boso przy swoim łóżku, ich syn Bubiś Tadeusz przy kaflowym wysokim białym piecu, ciocia z mamą wycofały się, będąc także bose (pod kołyski z dziećmi,) a my 4 małe berbecie stałyśmy boso płacząc, strasznie nam było zimno, dygotałyśmy.

Przez otwarte drzwi widziałem, że ktoś był jeszcze na ulicy.

NKW-dzista krzyknął po rosyjsku "jesteście aresztowani, nie ruszać się, bo będę strzelać".

Następnie oświadczył "będzie rewizja" - zwracając się do dwóch żołdaków w podkutych gwoździami butach wydał im rozkaz "strzelać do każdego, kto się poruszy". Nie podał przyczyny aresztowania.

Dzwoniłem z zimna zębami, a strach ogarniał mnie coraz większy, wydawało mi się, że krasnoarmiejec za chwilę nas zabije.

Spojrzałem na stół - stały na nim 2 budziki.

NKW-dzista krzyknął "przystąpić do rewizji".

Mama prosiła "zamknijcie drzwi" - są małe dzieci "proszę o koc" zwróciła się do Babci. Milcz ("małczać") krzyknął NKW-dzista.

Babcia wykonała dwa kroki - podając koc, wówczas żołdak uderzył Babcię w bok kolbą aż upadła. Dziadek próbował pomóc wstać, ale został pchnięty butem. Chciałem podać Mamie i Cioci Luci ciapy, zostałem uderzony przez żołnierza boleśnie w żebro ze słowami "a ty kuda" - "a ty gdzie! Upadłem.

Drugi żołdak rozpoczął rewizję. Na początku sięgnął po budziki, zauważyłem godz. 2-gą w nocy, na zegarze. *Był to więc* już 11.IV. 1940 r.

Budziki zostały schowane w kieszeni żołnierza. Następnie pozabierał z szuflad zegarki ręczne, pierścionki biżuterię, scyzoryki i inne przedmioty.

Dopiero teraz w obecności nadal stojącej boso i dygocącej z zimna rodziny rozpoczęła się właściwa rewizja.

Obaj żołnierze wysypywali z szaf i szuflad wszystko co w nich było na środek pokoi.

Tworzyły się duże sterty, pościeli, naczyń, ubrań. Wyrzucono nawet świeżo upieczony chleb. Żołnierze kłuli z zapalem bagnetami poduszki, wysypywali kasze, mąkę, cukier z pudełek, albumy rodzinne i dokumenty, oraz resztki zdjęć znalazły się na górze tego śmietnika. Naczynia z kredensu zgarniane toczyły się po podłodze, tłukąc się z brzękiem. Wreszcie wyrzucone zostały z szaf kożuchy, palta i futra, NKW-dzista patrząc na nie odezwał się "burżuje tyle futer".

Babcia moja Emila - zaczęła odmawiać głośno "kto się w opiekę odda Panu swemu".

Przez otwarte drzwi wiatr nanosił coraz więcej śniegu swoimi ~~przedmuchi~~^{podmuchi}.

NKW-dzista oświadczył "Boga nie ma" - słysząc Babci modlitwę - "my tu jesteśmy".

Rewizja trwała około godziny, dobiegała końca. Przestraszeni i zziębnięci całkowicie, nie mieliśmy siły płakać, łkaliśmy tylko najmniejsi nasi - moja siostra Helenka 4,5 miesięczna i Zbyszek Gilejko jej rówieśnik.

Wreszcie NKWD-dzista rzucił słowo.

"Zbierajcie się macie 2 godziny" zwrócił się w stronę mojej Mamy, której łzy płynęły po twarzy. Krasnoarmiejcy natychmiast skierowali karabiny w jej stronę.

"Ależ towarzysze (zowarzysze)" ja mam niemowlę i małe dzieci! Nie szkodzi odrzekł NKWu-dzista można zabrać 300 kg bagażu".

Bezradnie rozkładając ręce Mama rzuca się do oniemiałej z przerażenia Cioci Luci (siostry) "Lucia zostawiam Ci Helenkę - ja wkrótce wrócę". "Dobrze miła zostaw" odezwała się.

Teraz dopiero można nam było poruszać się.

NKWu dzista ^{schował} pistolet ~~schował~~ do kabury, żołnierze nadal celowali w nas z karabinów, stojąc pod drzwiami, ~~teraz~~.

NKWu dzista wypytywał w tym czasie kim kto jest i jakie to pokrewieństwo?

Babcia ^{PRÓBOWAŁA} ~~starala~~ się zapakować 4 bochenki ~~cięż~~ świeżo upieczonego chleba. Zbierała z ziemi szynkę, słoninę, zgarniała do pudełek kaszę, mąkę, zawinęła w szmatkę garść soli. Ciocia Lucia zbierała w pośpiechu łyżki, noże, widelce, odkładając dla nas z kubeczkim metalowym.

Mama starała się na nas nałożyć jaknajwięcej ubrań ciepłych.

Dziadek stał bez ruchu i modlił się z różańcem w ręku, widocznie sądząc, że to nasze ostatnie chwile życia.

Tadzio stojąc za piecem, ukradkiem wziął aparat mego Tatusia i schował go w rozerwaną bagnetem poduszkę, którą Mama moja nic o tym nie wiedząc ^{schowała} ~~wsadziła~~ w tobolek - worek.

W aparacie był film.

Babcia uklękła przed krzyżem i obrazem, po czym je zdjęła ucałowała chowając do worka. W pośpiechu szukała różańca, opłatka, książeczki do nabożeństwa.

~~Do~~ widząc ^{te} jeden z żołnierzy odezwał się "bierz to - tam tego nie znajdziesz".

Mama dźwigała ręczną maszynę do szycia, woreczek z nićmi, pudełka igieł, pakując wszystkie rzeczy w 2 toboły. Mogły one ważyć po 40 do 50 kg każdy.

Żegnaliśmy się ze łzami z pozostającą w domu rodziną, bo żołnierze i enkawudzista przynaglali "prędzej, prędzej" (skariej, skariej).

Ciepłe i słone łzy spływały po twarzy Cioci, Babci, Dziadunia ³ naszego ¹ kochanego ² i nawet Tadzia.

Ręce żołdaków oderwały nas siłą od naszych ukochanych i popychani kolbami zostaliśmy wypchnięci na dwór wraz z Mamą.

Tam w ciemności - koło domu stały 2 furmanki, każda z wiązką słomy. 2-ch woźniców oczekiwało nas. Kazano nam wsiadać.

Ciągnęliśmy toboły po śniegu nie mogąc udźwignąć - bo pomoc była zabroniona.

Wreszcie ktoś się w ciemności odezwał (jeden z woźniców) "ko-
^{2APENNE}
chana Pani zaraz pomogę" i nie bacząc na skutki, wrzucił nam te 2 toboły. Kazano wsiadać ~~nam~~ do pierwszej podwoły. Z tyłu na 2-gi wóz wsiedli z wymierzonymi w nas karabinami żołnierze wraz z NKWudzistą.

Snieżne zimne płatki niesione wiatrem zaklejały nam zalane łzami twarze.

Coraz to nowe śnieżynki wciskały ~~nam~~ się do nieosłoniętych rękawiczkami rękawów, topniały na szyjach... Odczuwaliśmy przenikliwy ziąb wiatru.

Odjeżdżaliśmy - nie wiedząc gdzie i jaki los nas czeka. Po raz ostatni odwracaliśmy głowy w stronę naszego tak nam miłego i kochanego domu rodzinnego. A tam przy szybach okien zapłakane twarze naszych ukochanych żegnały nas znakiem krzyża.

Mama cicho płakała otulając nas wełnianą dużą chustą. Jak kuropatwy w zimową mroźną noc tuliliśmy się wszyscy razem do siebie. Odmawialiśmy wspólnie urywki zapamiętanych paciorków. Słyszając słowa Mamy "Bóg nas nie opuści".

Tak dojechaliśmy do stacji kolejowej w Hancewiczach. Tam spotkaliśmy kilka rodzin aresztowanych już z naszego miasta.

Wsadzono nas do wagonu osobowego i zamknięto. Cały dzień staliśmy na stacji.

Trudno było wytrzymać bez wody, której zapomnieliśmy zabrać.

12.IV.1940 r. pociąg nasz nad ranem ruszył. Znaleźliśmy się w Baranowiczach, gdzie polecono nam wyładować rzeczy na peron i wyjść. Marzliśmy.

Na stacji zauważyłem 2 długie pociągi w kolorze czerwonym z wagonami towarowymi, wówczas jeszcze nie wiedziałem, że przeznaczone dla bydła, a nie ludzi.

Nie odstępowało od nas 2-ch żołnierzy z karabinami, nie pozwalający^{ch} nam ruszyć się z miejsca.

Południe - bardzo chce nam się jeść i pić, jest kubeczek, ~~ale~~ nie mamy wody.

Wyszło słońce z za chmur, trochę ciepłej - chociaż przez parę minut.

Obok nas jakaś rodzina także pod strażą. Ktoś woła. "Starajcie się o wodę".

Spotkanie.

Oczekując na nieznaną nam dalej kolej losu - Mama zauważyła znajomą z Hancewicz, przechodzącą peronem.

~~W~~ kilku słowach dowiedziała się, że reszta pozostałej naszej rodziny, także została aresztowana przez NKWD i wywieziona.

Wiedziona intuicją postanowiła dowiedzieć się, czy czasem nasi kochani nie znajdują się w stojących 2-ch pociągach. Znając świetnie język rosyjski zwróciła się z prośbą o zezwolenie na poszukiwanie rodziny. Żołnierz odpowiedział "nie lezia" - nie wolno. Zezwolenie na takie poszukiwanie wydaje NKWu-dzista - kierownik pociągu.

Obiecując żołnierzowi sute wynagrodzenie - rozpoczęła poszukiwania "za zezwoleniem" - zostawiając nas samych pod strażą krasnoarmiejców.

Długo nie wracała. Zaczęłyśmy - ~~my~~ ~~dzieci~~ płakać, obawiając się że Mama nie wróci, lub odjedzie, którymś z pociągów. Żołnierz dał do zrozumienia mi na palcach, że pociągi odjadą dopiero w nocy, a do nocy daleko.

Wreszcie - widzimy wraca ~~Mama~~ uśmiechnięta mówi, są wszyscy w tamtym pociągu - wskazała. Nam jednak przeznaczony był inny pociąg.

Długo trwały prośby, abyśmy mogli znaleźć się w jednym pociągu.

Wreszcie się udało - znaleźliśmy się wieczorem w oddzielnych wagonach (razem nie wolno było) ale w jednym pociągu.

Okazało się, że pozostali z rodziny w ten sam sposób zostali aresztowani w Hancewiczach w nocy z 11 na 12 IV. 1940 i wywiezieni tą samą drogą do Baranowicz, ~~z~~ tu oddzieleni od siebie także oczekiwali na peronie,

Oddzielnie wieziono Babcię, Dziadka i ich 17-letniego syna Tadeusza, ~~z~~ oddzielnie Ciocię Lucię Gilejko z 4,5 miesięcznym synem Zbyszkiem, 3-letnim synem Ryszardem i moją siostrę 4,5 miesięczną Helenkę.

Doszło jeszcze dźwiganie tobołów, które także zabrała na drogę. Rozglądając się bezradnie po peronie - ujrzała idącą Mamę, ale nie знаła języka rosyjskiego.

Zwraca się więc rozpaczliwie do pilnującego ją NKW-dzisty, aby za wszelką cenę porozumieć się z siostrą, a krasnoarmiejcy zagrażają karabinami drogę (z opowiadania Cioci w 1990 r.) - zwraca się błagalnie ze słowami do żołnierzy "pierepraszuju o tam maja siostra" - wskazuje- zamiast "izwiniaju".

Wyrywa się siłą - wreszcie zezwalają. Iaszczy raz toboły, to znów ciągnie za rękę małego Rysia, kładzie przed sobą toboły, na zmianę podnosi dwa zawinięte oddzielnie w chusty niemowlaki, ponownie je kładzie na peronie. i tak powtarza te same czynności złożone, posuwając się w stronę Mamy - krzyczy "Jadzia" - ale Mama nie słyszy w tym zgiełku głosów.

Obserwujący ~~nas~~^{to} młody Enkawudzista, wzruszony także Cioci urodą i wysiłkiem, odwraca się tyłem do Cioci Luci i ociera spływające po swojej twarzy łzy. Poleca żołnierzom ~~wznieść~~ niemowlaki (każdemu żołnierzowi z osobną), bierze tobolek, drugi Ciocia dźwiga ciągnąc przy tym 3-letnie dziecko za rękę doganiając ~~z~~ cel. Wśród

NKWD też byli ludzie . . .

Radość ze spotkania nie miała granic.

Wkrótce znaleźliśmy się razem na peronie. Zbliżał się zmierzch. Babcię - poprzez ludzi dobrej woli - nie zasadzie " podaj dalej nazwisko " - z wagonu do wagonu powiadomiliśmy że jedziemy tym samym pociągiem.

Załadowaliśmy się do wagonu oddzielnie taki był rozkaz. Zdażyliśmy zabrać wody we wszystkie możliwe naczynia. I oto zaryglowani w bydłym wagonie z zadrutowanymi i zakratowanymi oknami, bez pieca grzewczego, bez garstki słomy pod bokiem znaleźliśmy się w ciemności.

Mama trzymała Helenkę przy piersi, ja z siostrami Teresą i Justyną siedzieliśmy bezpośrednio w krótkich paltach bez rękawic obok. Stanowiliśmy znów nierozzerwalną rodzinę - my półsieroty traktowani jak najciężsi zbrodniarze, dzieci, niemowlęta, kobiety i starcy. W wagonie było około 75 - 80 osób. Ci co mieli, zapalili świece. Tak "staliśmy" pod koniec dnia 14.IV.1940 r. i czekaliśmy na dalszy nieznany nam los.

Z dalszych wagonów słyhać było śpiewy "Boże coś Polskę", "kto się w opiekę", "Serdeczna Matko", "Jeszcze Polska nie zginęła" i w naszym wagonie ktoś zaintonował "Nie rzucim ziemi skąd nasz ród" - wszyscy szlochali, chociaż różnej narodowości byli tu ludzie.

Prześladowcy nie cierpieli śpiewów więźniów - tłukli kolbami po bokach wagonów, ale widocznie nie wolno było im ich otwierać. Ich wysiłki aby uciszyć wiezionych stały się bezskuteczne. Nie wiedzieliśmy o tym zupełnie, że na stacji gdzie staliśmy zjawił się mojej ² mamy ³ brat ¹ Stanisław Bubień, jako zatrudniony tam próbował nam pomóc nie ujawniając, że jest członkiem rodziny.

Pierwsza noc wygnańców w wagonie

Z 14.IV.1940 na 15.IV.1940 r. przestaliśmy zaryglowani w wagonie. Zapamiętałem z tej nocy wiele.

Mama moja, próbowała bezskutecznie nakarmić płaczącą Helenkę piersią.

Skarżyła się do siedzącej na podłodze kobiety obok "kochana pani niech mi pani poradzi co mam zrobić - zanikł mi pokarm".

Tamta jednak szlochała cały czas mówiąc "mój kochany synuś tam został nie wrócił do domu, a nas zabrali - co on teraz robi"?

Ktoś wzdychał prosząc "pomóżcie mi, duszę się brak mi powietrza" Słychać było i krzyki rozpacz "ludzie gdzie jest ubikacja nie wytrzymam".

A ubikacji nie było. Owszem, kilka dziur po środku wagonu do tych celów przeznaczonych i boczne rynienki drewniane w ścianach wagonów do siusiania.

Nasza mała cmokała daremnie. Wreszcie Mama wpadła na pomysł. Brała do ust kilka okruszków chleba, trochę wody i tą papką karmiła małą Helenkę. Usnęła... Pociąg stał dalej.

Kogoś porwał przeraźliwy kaszel, w głębi wagonu jakaś kobieta spazmowała, to znów płakały dzieci "Mama daj jeść". I nam się okropnie chciało jeść, ale przestraszeni ciemnością wagonu bałyśmy się o cokolwiek prosić.

Nie pamiętam w jakiej pozycji zasnęliśmy. Pociąg ruszył z 16. IV.1940 na 17.IV.1940 r. w nocy.

Strasznie nas pocięły tej nocy pluskwy, które prawdopodobnie wylazły z 2-ch bocznych prycz zawieszonych nisko nad podłogą wa-

gonu. Swędzące czerwone bąble dokuczały nam długo.

Podróż w nieznane.

Okazało się, że pociąg pędził w szaleńczym tempie, a siła odśrodkowa raz po raz rzucała nami o podłogę zostawiając na czole kilka guzów. Próbowaliśmy trzymać się tłumoków, ale i te stały się ruchome. Czepialiśmy się maminej garderoby i nieraz padałiśmy wszyscy razem na którąś ze stron, tłukąc się o podłogę, większość dzieci doznając bolesnych uderzeń płakała, Wkrótce jednak opanowaliśmy płaski sposób leżenia na podłodze. Tu ~~jednak~~ w nocy strasznie wiało i przez otwory tz. ubikacji, i ze strony bocznych rynienek. Zmienialiśmy więc z grupami ludzi miejsca.

Raz oni na środku wagonu, raz my. To znów my przy ścianie. Pamiętam którejs nocy bardzo zmarzłem siedząc przy ścianie wagonu na której był biały szron - przymarzły mi wówczas włosy i nie mogłem oderwać.

W chwilach dużego pragnienia szron ze ścian zlizywałem, dziś to nie do uwierzenia.

Kilka osób znalazło się w naszym wagonie przypadkowo. Zabrało ich NKWD z ulicy do tz. uzupełnienia stanu wagonu - nie powiadając ~~ich~~ rodzin.

Helence zaczął wyraźnie boleć brzuszki, o czym świadczyły częste wypróżnienia. Najgorsze to, że zapas zabranych pieluch malał, a nie było gdzie uprać, więc ^{mama} przewracała je tylko na drugą stronę. Tak zwaną ubikację wykorzystywano bez przerwy siejąc po całym wagonie zapach nie do zniesienia. Część pasażerów na początku wymiotowała, potem nie mieli czym.

Wreszcie kilku mądrych ludzi pomyślało, aby ta czynność fizjologiczna nie była zbyt krępującą, potrzebującego delikwenta osłaniano z 4-ch stron kocami, gorzej było, jak przy nagłych ruchach wagonu nie trafiał do dziury, która z biegiem czasu zamarzała i trzeba było odkuwać.

Dojechaliśmy do Smoleńska, gdzie po raz pierwszy otworzono nasz wagon, pozwalając 1 osobie pod eskortą wyjść na peron po wodę, którą trzeba było kupić. Za wiadro wody żądano: (pierścionka lub 2-ch rubli).

Ale czyż cena jest ważna przy tak wielkiej rozkoszy - pociągnięcia pełnych parę łyków wody.

Chorzy na żołądek kupowali wodę wrzącą znacznie drożej - podawała ją osoba mająca prawo wyjść poza wagon. Pociąg jednak stał krótko - 10 minut. NKWD powiadomiło nas, że będą postoje co 3-cią większą stacją, co równało się ponad dobę jazdy w zamknięciu.

Pierwsze pogrzeby.

Do każdego wagonu było przydzielonych 2-ch żołnierzy z karabinami, zmieniających dyżur co 2 godziny. Mieszka^{li oni}jących na końcu wagonu w ocieplanej przybudówce, z której nieraz dolatywał do nas (nie do zniesienia) smakowity zapach smażonej kiełbasy.

Nasi stróże - po pewnym czasie dali nam do zrozumienia, że dobrze byłoby pokazać jakie dobra wieziemy z sobą, za które mogli^{by}śmy kupić częściej gorącej wody.

Starsi doszli do wniosku, że każda z rodzin coś ma do oddania i trzeba krasnoarmiejców udobruchać - bo inaczej nie dojedziemy żywi.

~~W~~ Cichaczem dawano im pierścionki i obrączki, w zamian za przedłużenie postoju pociągu na stacjach o 5 minut.

Z tymi, którym na skutek trudów, chorób, wieku nie udało się żyć dłużej NKWD - nie patyczkowało się.. Początkowo dla nas zagadką stanowiło to, że podczas krótkiego postoju w polu, przeważnie w nocy, po odryglowaniu niektórych wagonów wyrzucano na zewnątrz w śnieg jakieś worki.

Okazało się, że nie były to worki, a zmarli ludzie, których wyrzucano jak niepotrzebne worki na zewnątrz wagonu do rowów.

W naszym wagonie w 3-cim dniu podróży zmarł starszy człowiek. Początkowo wszyscy się za niego modlili, a potem oparli^{go} w kącie wagonu z braku miejsca i czekali aż wagon się otworzy.

I otworzyli w nocy pytając "podochłyj jeść" - co oznaczało "zdechły jest". "Jest" odpowiedziano - "Dawaj" - żołnierz zażądał - - po czym jak pociąg ruszył wyrzucił go do rowu i wagon zarygłował. Odprowadzaliśmy tych nieszczęśników, zbiorową krótką modlitwą i szczerym westchnieniem.

Od tamtej pory przestałem się bać zmarłych.

Zabici podczas podróży.

Podczas krótkich nocnych postojów nazywanych "pogrzebowymi", pamiętam parę prób uciezek zorganizowanych przez gimnazjalistów.

Jak opowiadano - jednemu się udało, pozostali zginęli od kul strażników.

Darmowe posiłki.

Za Smoleńskiem powiadomiono nas, że raz na dzień będzie przydzielony kocioł gorącej zupy.

Nie wiem dlaczego nazwano to zupą?

Ta przecież bądź co bądź ratująca nasze życie zawiesina - buraczano - dymowa powinna mieć trafniejszą nazwę ohydna lura. Mimo to dostawaliśmy ją za darmo w ilości 1 kocioł dla całej ilości ludzi w wagonie. Często nie wszystkim i to wystarczało, jeżeli wybrany przedstawiciel do tego podziału nabierał każdemu więcej niż 1/2 chochli.

Wówczas wynagradzano - zastępczo te osoby, którym nie starczyło płynu - racjami wysupłanymi z żelaznego stanu wiezionego jeszcze z Polski (chleba, cukru, bywała też garść zwykłej kaszy).

Przeeglądy lekarskie w naszym eszelonie,

Coraz częściej, zaczęły występować biegunki wśród podróżnych w naszym wagonie.

Powiadaliśmy o nich pilnujących nas strażników, bezskutecznie, *OCZEKIJC RATUNKU.*

Wreszcie po tygodniu - drzwi zostały odryglowane. Weszła baba w białym fartuchu i zapytała "tyfus jeść" (tyfus jest?) - dizintieria jeść? (biegunka jest?). Nie czekając na odpowiedź stwierdziła "nie wižu" - nie widzę - i wyszła. Żadnych leków nie otrzymaliśmy, mimo prośb o nie. Nie umożliwiono nam nawet umycia się. W różnych miejscach ciała powstawały bolesne czyraki. Wiele osób chorowało na grypę, zapalenie płacm - skrajne wyczerpanie.

Nasze obserwacje podczas podróży.

Parę dni młodzi chłopcy wydlubowali w ścianach bocznych szczeliny i dziury. Wybijali sęki w deskach w rytm nieznośnego stukotu pędzącego pociągu.

Dzień i noc słyszeliśmy stukot kół o łączenie szyn "trata tach, trata, tach, trata, tach."

Obserwacje prowadziliśmy bez przerwy na zmianę w dzień. Oglądający podawali na głos wszystkim, co widzą. Strażnicy nasi nie domyślali się nawet istnienia tych szczelin. Przed Smoleńskiem, coraz rzadziej przejeżdżaliśmy przez lasy, potem pędził nasz pociąg przez równiny rzadko zabudowane grupkami chałup. Wreszcie wjechaliśmy w bezkresne równiny, ale pokryte trawą ^estępową. Po drodze nędzne lepianki, stada kóz, owiec, baranów, parę koni, a przy nich pastusi z długimi kijami i ciepłymi czapami na głowie. Nocą w wagonie strasznie nam jest zimno. Dla dodania otuchy, śpiewaliśmy rano, kiedy ranne wstają zorze". Wówczas żołnierze uderzali kolbami w wagon, a myśmy śpiewali dalej.

Zorganizowana została lepiej nasza ubikacja w wagonie. Załatwiająca się osoba - otaczana była z czterech stron kocami. Trzymający koce musieli w tym czasie zamykać oczy.

Żartowano nieraz krzycząc "nie żałuj dla nich prezentów niech mają", a siedzący nad dziurą natęzał się jeszcze bardziej.

Pewnego popołudnia - otworzono drzwi podając ~~nie~~ znaną lurę w kotle.

Przyszedł ENKA-wudzista i głośno oświadczył "przez Moskwę nie pojedziemy - na to nie zasłużyliś^{cie}". Wszyscy odpowiedzieli gromkim "ura" z radością. Za karę o jedną dobę byliśmy zamknięci dłużej.

Kupić wrzątek

Biegunki coraz bardziej rozpowszechniały się w naszym wagonie. Ci co pochodzili z Polesia nie zapomnieli zabrać z sobą czarnych jagód suszonych, żurawin w słoiczku. Dla innych tylko ukrop pitnej wody stawał się ratunkiem. Najbardziej cierpiał jednak małe dzieci. Helenka miała biegunkę i wyschła jak patyczek. Nasze zapasy chleba kończyły się, suchary włożone przez Babcię także.

Za monetę srebrną, scyzoryk, szalik, rękawiczki na większych stacjach podczas postoju można było kupić około 1 litra zagotowanej świeżo wody tj. wrzątku "kipiatku". Nigdy nikt nas nie poczęstował tym cudownym w naszych okolicznościach płynem za darmo. Strażnicy nasi obłaskawieni różnymi prezentami branymi w ciemności "z ręki do ręki" przymykali oczy na kupno przez nas wody. Dawaliśmy tę wodę najbardziej potrzebującym. Pamiętam starszego pana zwanego dziadkiem, który 5 razy podchodził do dziury wagonu, wiele osób mu pomagało, sam nie mógł dojść, 2-gi znów okropnie kasłał - obaj wkrótce zmarli. Krasnoarmiejec wyciągając ich za nogi na zewnątrz wagonu stwierdził "zdechłe Polaki" - i wyrzucił na pobocze.

Koniec I-szego etapu podróży.

Po 11 dobach nad wieczorem zbliżaliśmy się do stacji ^uAkti~~u~~bińsk.

Zarośnięci i czarni od brudu mężczyźni, z naszego wagonu, wszyscy cuchnący, z bolesnymi czyrakami na szyjach, rękach i nogach, z pchłami i wszami w odzieży, chudzi, z zapadniętymi oczami po otwarciu wagonów - nie mogliśmy siebie poznać. Kazano nam wysiadać.

Wypadaliśmy raczej na zewnątrz - nie mogąc się utrzymać na nogach i rękach.

Jednak to była nieporównywalna wolność. Inny zapach częstego powietrza.

Dmuchał nam w twarz ogrzany stepowy wiatr, z unoszącym się pyłem.

Jedni płakali, inni cieszyli się, niektórym było to obojętne. Wszyscy pilnowaliśmy się z rodzicami razem, siedząc na naszych tobołach.

Wkrótce ku naszej wielkiej radości odnaleźliśmy się wszyscy - Ciocia Lucia przyszła z dziećmi, Dziadek z Babcią i synem. Popłynęły łzy radości - znów razem.

Ani jeść ani pić nam nie dano.

Kochana Babcia z węzełka wydobywała po kostce cukru, okruszynie chleba - jakżeż nam to smakowało, nam dzieciom. Dla starszych tych smakołyków nie starczyło.

NKWudzista polecił wszystkim zgromadzić się na placu w jednym miejscu przed stacją - bo ta została zajęta już przez innych podróżnych całkowicie.

Miejscowi tubylcy szybko nas otoczyli, okazując wielką chęć do handlu wymiennego. NKWudzista surowo im zabraniał porozumiewać się z nami, niektórych wręcz brutalnie odepchnął do tyłu.

Przyglądałem się im, trochę z ciekawości, nieco ze strachem, w świetle nisko wiszącego słońca.

Twarze mieli płaskie, nosy krótkie, oczy wąskie ciemne, cerę inną niż nasza żółtą. Wąsy wąskie długie zwisające, słaby zarost na brodzie i czarne włosy.

Nogi krótkie mocno krzywe. Znacznie niżsi od nas. Ubrani w brudne waciaki, połatanie spodnie na głowie coś w rodzaju wyszywanych jarmułek.

Kobiety obok nich smukłe w talii, z zaplecionymi długimi war-koczami, w spódnicach, rzadziej w sukienkach, dużo nosiło "za-szmalcowane" i brudne waciaki. Większość z małymi dziećmi na ręku. Kompletnie nie rozumieliśmy ich gardłowo urywanych dźwięków.

Po pewnej chwili - pośród tej otaczającej nas gromady wyszedł jeden mężczyzna z długim biczem i czyniąc nim różne przedziwne pę-tle w powietrzu "strzelał" raz po raz zbliżając się do stojących i siedzących polskich wygnańców. Tym sposobem dawał do zrozumienia, że on tu jest panem i wskazane byłoby byśmy skupili się w mniejsze koło. Okazywał także w ten sposób władzę nad nami.

Słońce znikło nad horyzontem, utrzymując dal w ciepłej przym- glonej purpurze.

Wiatr zmienił się z ciepłego w bardzo zimny, niosąc stepowy pył trzeszczący nam w zębach. Dygotaliśmy wszyscy. Bardzo ciemny kir nocy ogarnął wszystko wkrótce. Nad nami otworzyła się przepię-kna kopuła rozgwieźdzonego nieba.

Przed tem rozdano nam po maluteńkim kawałeczku "coś w rodzaju chleba".

Próbowałem zjeść, bo głód dokuczał mi straszliwie. Ale liczne zawarte w nim kamyki trzeszczały, w końcu połykając ten kęs w cało- ści o mało się nie udusiłem.

Zbyszek i Helenka - płakały wraz z innymi głodnymi dziećmi. Mama i Ciocia okrywały je niemal swoim ciałem.

Dla nas nasz dziadek oddał swój kożuszek zostając tylko w ma- rynarce.

Do dziś nie mogę zapomnieć drżącego z zimna dziadka. Starsi postanowili czuwać nad rodziną na zmianę. Wkrótce zasnąłem.

Obudziłem się, wstał dzień, nadal zimno.

Przez stepy Katakhanstanu.

Ludzie leżeli na tobołkach, niektórzy na gołej ziemi nic ze sobą nie mając.

Ogromny głód i pragnienie dokuczały wszystkim. Nadal nie wolno nam ruszać się z miejsca, tym razem dbali o to 2-j żołnierze z karabinami.

Około południa 24.IV.1940 r. podjechały odkryte brudne ciężarowe samochody, z bortami spiętymi łańcuchami po środku.

Do każdego pojazdu został przydzielony wojskowy kierowca. Już na początku pokazali nam co potrafią, witając nas słowami : " proklatyje Polaki " - przeklęci Polacy.

Przy czym klęli najbrzydszymi wyrazami, a przecież po raz pierwszy nas widzieli nie znając nikogo.

Tu znów popychając kolbami karabinów wpychali nas na swoje pojazdy.

Tubylcy przyglądali się nam, cmokali, głodząc rękami przy tym swoje gładkie brody, lub pociągając za końce cienkich jak sznurki wąsów, Dopiero po kilku latach dowiedziałem się co to oznacza - zakłopotanie - przecież chcieli, a nie mogli nam pomóc. Gramoliliśmy się na wysokie ciężarówki. Rozdzielono nas znowu babcię, Tadzia, dziadka osobno i ciocię Gilejko z dziećmi osobno. Ale jechaliśmy w konwoju 5 pojazdów. Dowodził NKW-dzista z czerwoną gwiazdą na lewej piersi i śmiesznie skrzywionym daszkiem czapki służbowej.

Mogło być południe. Już w trakcie wsiadania napłynęły niskie ołowiane chmury, zaczęło padać. Wśród klątw kierowców i złorzeczeń wyruszyliśmy.

Przechodnie spoglądali na nas ukradkiem. Nie mieliśmy plandek, mokliśmy.

Mama moja znów własnym ciałem okrywała Helenkę zawiniętą w przemokłą chustę. Bagaże zamakały. Na zakrętach przewracaliśmy się uderzając o borty.

Trzymając się łańcucha spinającego skrzynię wozu, staraliśmy się nie wypaść, coraz zimniejsze stawały się ręce, sztywniały palce.

Przed nami ukazała się bezbrzeżna równina stepu ginąca w dali mgieł.

Modliliśmy się- nie wiedząc gdzie nas wiozą. Pozostaliśmy na łasce kierowców - MKW-udzista wrócił do Ak^{IM}t~~u~~zbińska. Ołowiane chmury z deszczem przewalały się nisko nad ziemią, przygnębiając nasze ^{POGARSZAJĄC}nastroje.

I oto ujrzałem coś niesamowitego.

Całe niekończące się pole tulipanów z rozkwitającymi kwiatami, w kolorze białym, czerwonym, żółtym, fioletowym. Kołysały się na wietrze ^{NAPEŁNIAJĄC} nas niepowtarzalnym odurzającym zapachem.

Kierowca nadal nie szczędził klątw. Pojazdy wyły na błotnistej drodze, ulegały poślizgom. Zaczęły się po paru godzinach jazdy, wzniesienia.

W każdej chwili brawura naszego kierowcy groziła nam wywrotką, lub spadkiem w dół. Przechyliły na boki, coraz większe.

Zaczęły nam wypadać łyżki, parę garnków, ale na nasze prośby zatrzymania się kierowca niereagował. Wiedział, że to co spadnie w powrotnej drodze będzie jego.

Z dala widać rzekę - dojeżdżając zauważyliśmy brak na niej mostu.

Tkwiło tu, w tej rwącej przybierającej wodzie wiele pojazdów z ludźmi.

Deszcz lał nadal - Nie pozwolono nam schodzić, chociaż nikt z nas nie umiał pływać. Nasz kierowca także próbował sforsować rzekę, wpadając do zagłębienia ~~do~~ wody prawie po skrzynię naszego pojazdu. Szybko zaczęły się tworzyć głębokie wyrwy pod kołami i wóz przechylał się. Teraz strach mnie ogarnął naprawdę. Na drugim brzegu 3-samochody "próbowały" wyciągnąć - przy pomocy lin stażące w wodzie pojazdy z ludźmi. Liny pękały, a wody przybywało. Wreszcie z tamtej strony przyprowadzono w jarzmach wały, które niemilosiernie katowane, głośno stękając pomogły wyciągnąć dwa pojazdy.

Jeden z samochodów mocno przechylił się, poleciały z niego spakowane rzeczy do wody. Kobieta też z dziećmi siedząca w jego skrzyni, głośno zaczęła płakać - nikt na to nie zwracał uwagi.

Wreszcie przyszła kolej i na nas. Pojazd także mocno przechylił się.

Mama głośno zaczęła odmawiać "kto się w opiekę odda Panu swemu", próbując kolanami trzymać się łańcucha, trzymała rękami Helenkę, płaczącą, mokrą, zziębniętą i głodną. A my wczepieni nadludzkim wysiłkiem w łańcuch, czekaliśmy co się stanie.

Wyciągnięto nas. Wyjechaliśmy na przeciwległy brzeg do miejscowości Pietropawłowka.

Na błaganie kobiet kierowcy zatrzymali się przed budynkiem jakimś.

Matki małych dzieci chciały dać jeść, czy czemś napoić dzieci.

Zeskoczyłem z wozu z siostrami, tu krzaków nie brakowało, a najwyższy czas zmuszał nas do tego.

Mama i ciocia z niemowlętami na rękach oczekujące wodę, zdyszane weszły pod dach, przygotowały papkę z chleba (okruszy roz-moczone w wodzie) otworzyły drzwi, chcąc przykuśnąć na stojącej ławie. Człowiek siedzący za biurkiem okrytym czerwonym płótnem, przeklął szpetnie, uderzył w stół pięścią i krzyknął "udzierajcie"-uciekajcie. To nie stołówka. Byliśmy więźniami bez wyroku, ale co zawiniły te maleństwa ?

Ze łzami w oczach zawróciły ciocia z mamą i zaczęły się "gramolić" spowrotem - na ciężarówkę, bo tu trąbieniem intensywnie wzywali kierowcy.

Pojechaliśmy dalej, spotykając po drodze, niewielkie stada bydła, baranów i parę rozpadających się odrapanych tubylczych lepianek. Widzieliśmy kilka pastuchów w obdartych ubraniach, przyglądającym się nam ciekawie.

Na widnokręgu pojawiły się góry, początkowo w kolorze mleczno-białym, potem niebieskawym. Mgła opadała, chociaż deszcz nie żałował nas nadal.

Na odległych szczytach widzieliśmy białe śnieżne plamy. Znow karkołomny zjazd w dół, a tu morze tulipanów.

Zbliżał się wieczór. Dojechaliśmy do 5 lepianek, tu nam polecono wysiadać. Osada o nazwie Kizyl-ku należąca do kołchozu Czarczar.

Ze zmęczenia nie mieliśmy siły wstać. "To wasz dom" - wskazano nam. Przed chwilą wypędzono stąd barany i kozy, każąc nam wchodzić

i wnosić nasze rzeczy.

Wkrótce wylegli z lepianek mieszkańcy - kobiety, mężczyźni, obdarci i brudni.

Kierowcy nasi odjechali. Nie rozumieliśmy ani jednego słowa w ich języku, oni zaś nie władali językiem rosyjskim.

25 kwiecień 1940 r. Pierwsza noc w stepach kazachstanu.

W chlewie, do którego nas wpędzono ciemno, Zapalone przez nas papiery w celu oświetlenia przejścia zaledwie tliły się, gasnąc. Zbyt duże stężenie gazów z rozkładającego się gnoju zwierzęcego. Ta rzadka maź nie uprzątnięta po zwierzętach sięgała nam po kostki. Nieśliśmy po omacku nasz dobytek, oczy nam łzawiły i piekły.

Idąc długim korytarzem widzieliśmy bardzo niski sufit, drzwi zamykane na drewniany kołek - wszystko z wikliny, wysmarowane zwierzęcym ^{łajnem} ~~łojem~~ dla uszczelnienia.

Dotarliśmy do miejsca, gdzie podłogę stanowiła glina. Co tu było ? Piecyk, półka, prycza i wiązka siana. Znów wziętą z Polski gazetą rozświetliliśmy wnętrze.

Na półce leżała para drewnianych łyżek, stały czarki z drewna ozdobione ręcznie wzorami, na ścianie wisiała strzelba kurkowa starego typu, o której potem dużo mi powiedział brat Mamy Bubiń Tadeusz. W rogu widziałem stojący samowar. Jak zorientowaliśmy się pomieszczenie to było odgrodzone od zwierząt, także plecioną ścianą.

Po drugiej stronie jeszcze kilkadziesiąt ~~zw~~ ^{ikoz} baranów było. Na nasz widok zaczęły one beczeć i meczeć.

Panował tu niesamowity zaduch, brakowało nam tchu. Ale to nic, wreszcie jesteśmy pod dachem, kompletnie zziębnięci i przemoczeni.

Ciała nam niesamowicie swędziały, przecież nie myśliśmy się wogóle od 11.IV.1940 do 25.IV.1940. Liczne czyraki. ropnie bolały nas i piekły.

Pierwsza próba rozlokowanie się, ułożyć się obok siebie, aby wreszcie zasnąć. Wreszcie byliśmy całą rodziną w ciasnej klitce na klepisku :

Babcia, dziadek, mama, Padio, ciocia, moje 3 siostry i 2 także małolatów, 2 bracia cioteczni: Zbyszek i Rysio.

W ciemności naradzaliśmy się. Los nasz stał się tragiczny. Niemowlęta prawie niekarmione przez dobę, brak wody, światła, głód, brak jedzenia, przemoczone wszystkierzeczy i ubrania.

Babcia jeszcze wydobyła kawałek pieczonego w Polsce chleba- jak on się uchował "na czarną godzinę". Po okruchu jedliśmy go niemal ze czcią - stanowił dla nas jak opłatek symbol Polski.

Nie sądziliśmy, że to nasze ostatnie polskie okruchy na całe 6 lat.

Nieśpodziewany gość z Kizyl-Ku

Nie dokończyliśmy jeszcze modlitwy wieczornej- jak ku naszemu zdziwieniu wszedł tą samą drogą co my, niski, krępy człowiek, niosący w ręku coś w rodzaju lampy naftowej.

W jej świetle uśmiechnął się do nas cienkimi szparkami swych oczu, tak jakgdyby ukłonił się, a czując zaduch i słysząc nasze ciężkie oddechy, podszedł do 3-bocznych maluteńkich okienek przy przeciwległej ścianie i wybił je. Zaczęło wpływać rzeźkie stepowe

zbawcze, ale zimne powietrze.

Opuszczały nas mdłości. Przybysz siadł na klepisku po turecku skrzyżował nogi, wyłamał z plecionej ściany kawałek patyka i przywołał ruchem ręki Mamę i Tadzia, zaczął patykiem po glinie rysować.

Zrozumieliśmy, że jesteśmy 70 km, od Aktubińska na wschód.

Po czym ułożył się bezceremonialnie na pryczy, po uprzednim załadowaniu strzelby, wskazał nam ruchem ręki byśmy także kładli się obok niego i wkrótce zasnął. Musiał być także zmęczony, a może umiał zasypiać na poczekaniu ?

Prycza długa, ale jak tu spać z nieznanym człowiekiem ?

Pierwszy ułożył się Tadzio, potem Mama z Helenką, Ciocia i ja. Reszta rodziny wolała wygodniej spać na klepisku. Wskazując nam miejsca, może ten człowiek myślał o właściwym jego wykorzystaniu. Na wiązkę siana przeniesione jednak zostały niemowlęta i otoczone chustami.

Obcym był kazach, obudził się na dźwięk odmawianych przez nas modlitw.

Przysłuchiwał się uważnie patrząc na światło lampy.

Szanował milczeniem nasze modlitwy.

Wkrótce wszyscy ułożyli się, przybysz wstał zgasił lampę i wrócił na miejsce, wkrótce też bardzo głośno zaczął chrapać.

Większość z nas spać nie mogła. Opadły nas pchły. Z plecionki sufitu zaczęło się sypać nam na głowę jakieś robactwo, drapaliśmy się przewracali, wreszcie ogarnął nas sen,

Ciocia z Mamą miały wydoić parę kóz, ale nie mogły sforsować przegrody, ponadto bały się że kazach obudzi się,

Poranek 26 kwietnia 1940 r.

Odczuwaliśmy jakieś ciepło. To na klepisku stał samowar, żarzyły się węgielki, a niebieska smużka dymu unosiła się pod niski pułap. Tuż obok siedziała kobieta z małym dzieckiem na ręku i nasz znajomy przybysz. Uśmiechnięta w watowanych spodniach i brudnej żółtej bluzce. Pili w filiżankach z fajansu herbatę o cudownym dla nas zapachu, Obudziliśmy się. To byli nasi gospodarze, to ich locum i im polecono nas zakwaterować.

Okazało się, że kazachowie mieszkali razem z kozami i baranami, po to aby wilki ich nie pożarły.

Gościnność gospodarzy.

Powitali nas uśmiechem. Mężczyzna sięgnął na półkę, zdjął kilka drewnianych czarek, zdmuchnął energicznie z ich wnętrza kurz i nalał do nich kwaśnego mleka zwanego tu "arian" (o czym dowiedziałem się później).

Powtarzał czynność nalewania podając nam kolejno, aż do opróżnienia swego skózanego bukłaka.

Pyszny smak, zawartość zniknęła w oka mgnieniu.

Widząc nasz wielki głód, znów się uśmiechnął. Z kieszeni brudnego waciaka wyciągnął dość spory placek pszenny, nazywany tu "pyszką". Podał nam. W oka mgnieniu rozerwaliśmy go na kawałki, połykając w pośpiechu jak dzikusy.

Uśmiechnął się dobrotliwie, rozumiał nas.

Przez okienka zaglądał świt, coraz jaśniej na zewnątrz.

Przyjrzałem się gospodarzom naszym. Wzrost mężczyzny 150 - 155 cm. Z przodu włosy ciemne ostrzyżone "w grzywkę", usta mięsiste grube,

twarz płaska.

Kobieta podobnego wzrostu, z warkoczem sięgającym poniżej pasa. Bardzo szczupła z niewielkim biustem. Na bluzce nosiła serdak ciemny z naszytymi starymi monetami, dźwięczącymi przy każdym ruchu. Zauważyłem też na serdaku wyszyte kolorowymi nićmi motywy roślinne (liście, kwiaty), rzędy przymocowanych koraliczków.

Na nogach mieli obuwie z kołchozu - rozczłapane jakieś brudne buty. Dziecko nie rozstawało się z matką.

Pierwsza niewolnicza praca w kołchozie Czan - Czar.

Jeszcze nie zdążyliśmy rozpakować swoich nielicznych rzeczy, aby je przesuszyć, a tu z dużym krzykiem i hałasem trzaskając biczem wpadł do nas brygadier wzywając do pracy. Gospodarze opuścili nas.

Prześladowca nasz - pobudził śpiące dzieci - wykrzykując po rosyjsku - "Nie widzicie że słońce weszło - wstawać lenie do pracy". Nie odpoczęliśmy jeszcze po mękach podróży, nie umyliśmy się w mokrych ubraniach....

Brygadier szarpał za ramiona i nogi Ciocię Gilejko, Mamę, Tadzia, dziadka, baucię krzyząc "wstawać lenie".

Zwrócił się do dziadka "a ty staruchu co się przewracasz z boku na bok-do pracy". Babcia tłumaczy, że dziadek ma przepuklinę, nic nie pomaga, wreszcie brygadzista daje spokój kwitując słowami "i tak tu zdechnie". Przestraszone dzieci zaczęły płakać. Mama z Ciocią przytulały najmniejszych wygnańców chcąc je uspokoić.

Oderwał je brutalnie, wśród brzydkich wyrazów i kazał wyjść na dwór.

W tej sytuacji głodni poszli do pracy Tadzio, Mama i Ciocia. Zostaliśmy sami, bezradni. Nie wiedzieliśmy gdzie poszli i kiedy wrócą.

Wkrótce słońce rozświetliło step, na dworze pocieplało.

Wychodziliśmy tą samą drogą przed lepiankę - trzeba ubranie i rzeczy osuszyć. Przezorna Babcia poleciła je pilnować. Niemowlęta umieściliśmy także, układając obok siebie.

Teraz babcia z dziadkiem sprawdzali co zostało, rozpakowując toboły.

Niemowlaki płakały z głodu, nam też żołądki grały porządnego marsza z głodu. Ile my dzieci miałyśmy wówczas lat ?

Helenka i Zbyszek 5 miesiąc, moje następne siostry Justyna 6 lat, Teresa 4 lata, ja 8-my. Cioci 2-gi syn Ryszard 3 lata. Ze starszej generacji mamy brat Tadeusz miał 17 rok.

Widząc nasz dobytek zbiegły się kobiety Kazaszki (mężczyźni poszli do pracy). Otoczyły nas kółkiem, prawie każda z dzieckiem małym na ręku. Panował tu zwyczaj - nie wolno brać kobiet do pracy z dziećmi na ręku.

Okazało się, że podczas podróży wiele straciliśmy, Powypadała część garnków, łyżek, noży, szaliki, swetry itd.

Pozostały jednak drobiazgi - jak ręczne lusterka, scyzoryki, nożyczki, guziki, tasienki, igły, nici, chusteczki, które miały potem odegrać wielką i znaczącą rolę w handlu wymiennym z tybulcami i pozwolić nam przeżyć najcięższe okresy.

Przy okazji stwierdziliśmy - posiadamy 3 ręczne maszynki do mięsa. To sąsiadka Gajlewicz - jeszcze w Hancewiczach - nie dość że zgłosiła nas do NKWD na listę (o czym dowiedzieliśmy się po latach), prócz tego rzekomo pomagała Cioci Luci Gilejko przy are-

sztowaniu pakować rzeczy, zamiast potrzebnych wpakowała 3 maszynki do mięsa złośliwie.

Zajmując potem nasze dobra i dom jako kochanka ENKawudzisty.

Dokonaliśmy radosnego odkrycia: mamy jeszcze cukier w kostkach (tu wielki rarytas) 2 koce i 1 wełnianą dużą chustę. Nasze sąsiadki natarczywie domagały się wymiany przedmiotów. Babcia przezornie zabrała wszystkie drobiazgi do wewnątrz spowrotem, a mnie z dziadkiem poleciła pilnować reszty rzeczy.

Kobiety odeszły niezadowolone.

Jedna jednak została - może z litości, a może z rozsądku, czy chęci zysku.

Zauklarowała pomoc.

Przyniosła żar na czymś podobnym do szufelki, ułożyła na nim garstkę trawy stepowej, oraz suszone łajno bydlęce. Stepowy wiatr zapalił materiał. Przyniesione przez nią mleko wleliśmy do garnka - zawieszając go na kijach nad ogniem. Przyglądała się ze zuziwnieniem łyżeczce metalowej, którą je mieszaliśmy. Widocznie po raz pierwszy taką widziała.

Babcia podarowała kolorową wstążkę naszej dobrodziejce - udała się ona z nią natychmiast do swojej lepianki. Garść mannej kaszy znaleziona w węzélku nadała smakowitości mleku.

Małeństwa jadły ten smakołyk z najwyższym zadowoleniem. Wygłodniałe żołądeczki zareagowały biegunką. W becikach posłyszeliśmy mini - grzmoty.

Kazaszka, przyszła znów niosąc gorący pszenny placek ("pyszka") - podarowała go nam dzieciom. - Do dziś nie mogę zrozumieć dlaczego rozerwaliśmy go na kawałki, nie dzieląc się z dziadkiem i

babcią. Patrzyli na nas z troską i wyrozumiałością.

Widząc mękę niemowląt - dobra nasza sąsiadka przyniosła własnoręcznie sporządzony napar z ziół - wskazując palcem na dzieci. Drugą rękę wyciągnęła po zapłatę. Kilka guzików całkowicie ją zadowolilo.

Nadchodził wieczór, z dalekiej doliny wiatr przynosił zapach tulipanów - tam w postaci czerwonych plam widniały całe ich kołbierce. W oddali widziałem szczyty gór, słońce już je dotykało, oddychałem świeżym zdrowym powietrzem.

Zauważyłem niosącą na nosilkach w wiadrach wodę cały korowód kobiet. Wyszedłem z wiadrem w ślad za nimi. Do rzeki około pół kilometra. Kobiety idąc gęsnego przyglądały mi się chichocząc, szczególnie ciekawe mego innego ubrania. Zaczynałem 8-my rok, od tego wieku, tu wszystkich chłopców zatrudniano, początkowo do pasania bydła, potem do powożenia wołami czy koniami, wreszcie w stepie przy bronowaniu - o czym dowiedziałem się później. Chłopcy w moim wieku umieli już świetnie jeździć konno, nawet bez siodła.

Rzeka do której doszedłem miała bardzo czystą wartko płynącą wodę - jeszcze tego samego dnia do wieczora bez przerwy nosiłem wodę na nasze potrzeby. Trzeba było wreszcie uczyć się zrobić pranie i ugotować ciepłej strawy dla całej rodziny.

Dowiedziałem się, że rzeka nazywa się KARHAŁA. Wzdłuż jej brzegów rosła wiklina - jak to Tadzio potem mówił "jedeny większy zarost na naszym terenie".

W wodzie zauważyłem ryby, raki i pływające węże. Pod wieczór nasze ubrania, bielizna już babcia porozkładała koło lepianki na trawie po wypraniu w miednicy, poprzykładała różnymi przedmiotami, aby zrywający się raz poraz wiatr tego nie porwał. Dziadziunio

nasz kochany siedział i tego pilnował.

Nastawał chłodny wietrzny wieczór, ukryliśmy się w naszej dziurze, zabierając pranie.

Powiót kołchoźników.

Późno po zachodzie słońca, wlokąc nogi za sobą szli do nas bardzo wolno kompletnie wyczerpani Mama Tumilowicz, Ciocia Lucia Gilejko i ich brat Bubień Tadeusz.

W naszej "norze" zapalona została świeca, przy której Babcia podawała jeszcze jakąś przygotowaną kaszkę, na raty, bo nie było tyle naczyń.

Raz po raz brnąc we wspomnianej mazi wylewałem na zewnątrz wodę, a nasi kochani kołchoźnicy padli do odpoczynku i leżąc opowiadali. Do pracy w kołchozie Czarny - Czar szli pieszo około 3 km, po drodze bardzo zmarzli w przemoczonych ubraniach. Pracowali przy załadunku pszenicy do siewu. Nosili ręcznie worki 50 -70 kg. Mama podawa z góry z samochodu na dół Cioci - Ciocia odbierała do czyszczalni na dół. Nie mogąc udźwignąć takiego ciężaru raz po raz padała. Niosła kilkanaście metrów, początkowo pomagał Tadeusz, potem brygadier zabrał go do nakładania części tych worków na wóz i wożenie.

Mama i Ciocia pokazywały do krwi pocierane ręce, liczne powstałe pęcherze.

Miały też pasy na nogach sine, to od bicia brygadiera, poganiającego jak niewolnice, aby praca szła szybciej.

Jak opowiadały - mężczyźni stali i nadzorowali, kobiety pracowały.- Kazaczki kręciły dużą korbą *WIALNI* (była to praca

lżejsza). Pszenicę nasypywały tam biorąc z kupy szuflami. Praco-
wały tam chętnie, bo można było napełnić ziarnem kieszenie, tłu-
macząc przy rewizji osobistej, że się nasypało. Mama i Ciocia też
przyniosły parę garści - z czego Babcia zrobiła "kutię", którą
zjedliśmy wszyscy łąpczywie. Tylko Tadzio nie odzywał się spał
kamiennym snem.

Szkoda nam było zużywać świecę - zgasiliśmy i wszyscy usnęli-
śmy.

Zmiana miejsca pobytu.

27.IV.1940 r. ~~zako~~ (tak jak zapisane było na kartec Tadzia,
który notował zdarzenia) - rano nie zastaliśmy już naszego miłego
gospodarza, ani jego małżonki - nie widzieliśmy ich więcej.

Jeszcze słońce nie weszło, a tu z olbrzymim krzykiem zjawił
się brygadier każąc wynosić się z tego pomieszczenia nam wszystkim.
Nie uprzedzeni o tym wcześniej, w pośpiechu nasz dobytek wiązany
był w chusty. Staraliśmy się zabrać wszystko, ale w pośpiechu i
ciemności wprost to niemożliwe. Zapalona świeca gasła. A brygadzi-
sta krzyczał "no skarej wy proklatyje Palaki" - "no prędeej wy
przeklęcia Polacy". Nikt nie odzywał się - zbudzone ze snu płakały
Helenka, Zbyszek, Rysio i Teresa, trochę z głodu, nieco z prze-
strachu i rozespania.

I znów ani Mama, ani Ciocia nie zdążyły wydoić parę kóz z za-
ściany (liczyły, że uda się to rano). Przy beczeniu baranów i płaczu
dzieci tej przedziwnej orkiestey, po ciemku opuszczaliśmy Ki-
Zył-Ku. Na dworze spotkał nas straszny poranny ziąb i cudnie czy-

stę rzeźkie powietrze.

Każdy coś dźwigał. Mama niosła Helenkę, Ciocia Zbyszka, ciągnąc za sobą dodatkowo jeszcze ~~inne~~ dzieci, które musiały iść pieszo. Mama Teresę i Justynę, Ciocia Rysia.

Babcia dźwigała na plecach naczynia, dziadek inny tobiół, Tadzio coś w kocu, my z ~~ust,~~ ^{na} co nam dano - wynosiliśmy.

Na dworze stała podwoda wóz zaprzężony w woły. Włożyliśmy to wszystko na ten wóz, siadł na nim brygadier, który powoził, bijąc niesamowicie woły. Wkrótce zjawił się woźnica kazach o nazwisku BABAJ, przejmując funkcję.

Nam wszystkim kazano iść pieszo - może abyśmy nie pomarзли. Dreptały więc małolaty obok starszych chlipiąc i wylewając łzy od czasu ^{do czasu} - nierozumiały dlaczego nie mogą spać, a muszą tak rano iść.

Mieliśmy wówczas od 3 do 8 lat nie licząc niemowląt. Babaj poganiał woły długim biczem, nie tyle je bijąc - co wyczyniając nad nimi rozmaite pętle z biczem. Woły go słuchały, od czasu do czasu zagwizdał przez zęby.

Mijaliśmy 8 lepianek tybulczych, w żadnej nie świeciło światło, dorośli poszli do pracy, kobiety z dziećmi jeszcze spały. Nie mieliśmy zegarków, ale tu nie były potrzebne.

Po długim czasie mokrzy do kolan (poranna rosa) doszliśmy do jakiejś lepianki.

Stanęliśmy w kołchozie Czan - Czar. Brzeg słońca wynurzał się z za horyzontu.

Krajobraz przedstawił się w niepowtarzalnym naturalnym i dziwnym pięknie.

Koźchoz położony w zielonej kotlinie niedaleko rzeki Karhała. Od wschodu i zachodu góry - potem dowiedzieliśmy się, że noszą nazwę Kunderluk i Kabanhora. Z gór spływała 2^{ga} rzeka o bystrej czystej wodzie nazywanej Rzyzdybaj - łączyła się ona z rzeką Kurhała.

Dalej rozciągał się ginący w dali łagodny płaskowyż. Do rzeki tym razem mieliśmy bliżej około 70 m.

Jeszcze nie rozlokowaliśmy się, a brygadier krzycząc wzywał ponownie do pracy Mamę, Ciocię i Tadzia.

Tym razem Mama i Ciocia zbuntowały się powiedziały "dzieci głodne i chore, a my mamy pokaleczone ręce nie pójdziemy". Brygadier straszył NKWD i więzieniem, ale widząc nasz płacz dał spokój - nikt nie poszedł. Tu nie było, ani pieca, ściany lepianki porozwalane, popękane, pułap ledwo wisiał, była to jeszcze gorsza rudera, wymagała pracy - to brygadier zrozumiał.

Zjedliśmy resztki ugotowanej pszenicy. I znów suszyliśmy przymoczone ubrania. Znowu dźwigałem wodę. Teraz wszyscy pracowaliśmy.

Nad rzeką zauważyłem pływającą przy brzegu dużą rybę (może miała tarło) zabiłem ją kijem i ku wielkiej radości przyniosłem - co Mama skwitowała słowami radośnie "jak Bóg nie opuści to i świnia nas nie zje". Wkrótce zjedliśmy ją upieczoną. Na rzece był mostek ciekawie ułożony z kamieni - łatwo mi było nabierać wodę.

Nowy nasz dom.

Życie dalsze naszej rodziny zależało od zaradności. Przyjrzeliliśmy się bliżej naszej lepiance. Drzwi plecione z wikliny tak niskie, że trzeba mi wchodząc schylać się. Do pułapu dostawałem rękami. Podłozę klepisko.

3 małe okienka, sień 2-3 metry o metrowej szerokości, 2 pomieszczenia łączące się ze sobą o powierzchni około 2 x 2 mb, coś w rodzaju komina w jednym. Naroża "pokoi" prześwitujące na zewnątrz podłużnymi szparami do 1/3 wysokości, przez nie dął wiatr. Mielśmy dzień czasu. Na pułapie w kącie naroża królował duży grzyb, z którego od czasu do czasu spadały krople jakiejś cieczy. Panował półmrok i zaduch. Pootwieraliśmy wszystkie "drzwi", a raczej plecionki wiklinowe oblepione gliną.

Cały czas nosiłem wodę i kamienie z nad rzeki. Trzeba budować palenisko, komin, łątać szpary lepiszczem z wikliny i gliny. Nie mogliśmy znaleźć gliny, wreszcie trafiliśmy na podobną warstwę.

Tadzio z dziadkiem budowali komin i piec, wycinając w "suficie" otwór. Babcia z dziećmi (Teresą, Justyną, Rysiem) zbierała kiziak (łajno bydlęce wyschłe). Musiały wokół lepianek natrafić na właściwe miejsce. Pomagał w tym dziadek. Pilne to dla nas, nie mieliśmy czym palić.

Podawałem worek z kiziakiem na plecy, ale dziadek upadał, ciągnęliśmy więc go w naszą stronę po ziemi, ale wówczas "kiziak" wewnątrz kruszył się. Zerwał się wiatr. Step falował trawą o wysokości od 30 - 40 cm jeszcze zieloną, kwitły tulipany. Piec po południu już stał.

Zapalony kiziak niezbyt suchy tlił się, narobiliśmy mnóstwo dymu, istna wędzarnia w domu - ale może to i dobrze wytrujemy wszelkie insekty stwierdziła Babcia. Rzeczy i niemowlęta zostały wyniesione na zewnątrz.

Komin, wkrótce zawalił się - nie wysechł należycie. Zbliżał się wieczór, kleiliśmy szpary lepianki lepiszczem, trwała ponowna

budowa komina i pieca. Wiązaliśmy wikliną oblepialiśmy ją tym lepiszczem, to zdało egzamin, odkryliśmy, że do gliny trzeba dodać nieco krowiego łajna.

Późną nocą "piec" zaczął funkcjonować. Wreszcie trochę ciepła w naszych klitkach, zbyt dużo szpar jeszcze pozostało.

Wygasił ogień - znów marzliśmy.

Jednak noce kazachstańskie w kwietniu są niezwykle zimne. W nocy niespodzianka opadły nas pchły. Skąd się tu wzięły ?

Nikt nie dał nam żadnych racji żywnościowych, zużyliśmy znalezione resztki zapasów przywiezionych z Polski, trochę kaszy, nieco cukru.

Z samego rana rozpoczęliśmy zbieranie "kiziaku" - suchego łajna krowiego.

Kazaszki przepędziły nas mówiąc "to nie wasz teren". Chodziliśmy więc daleko w step - bydlęcym szlakiem, wskazanym przez sąsiada kazacha.

Po ten opał wyszliśmy wszyscy. Chodziło o to aby jaknajszybciej zgromadzić opał. Przewidywaliśmy, że wkrótce brygadier popędzi znów do pracy dorosłych.

W pośpiechu pakowaliśmy suche krowie placki do zabranych z Polski worków.

Odeszliśmy spory kawałek drogi w step. Powrót stał się uciążliwy. Znowu ciągneliśmy po stepowej trawie worki z kiziakiem nie mogąc unieść do góry.

Na niebie ukazało się kilka małych obłoków, płynęły swobodnie. Zauważyłem kilkanaście wielkich ptaków, krążących w koło wysoko nad nami. To orły. Nie poruszając skrzydłami wykorzystywały prądy

wznoszące jak szybowce. Zanim odeszliśmy z tamąd, stały się mało widoczne, tuż pod obłokami chmur.

Zbliżało się południe, ociepliło się. Niemowlaki płakały z głodu ponownie leżały w trawie pod lepianką zawinięte w wyprane pieludzki, kilkanaście białych kawałków schło na trawie - to cenny zapas.

Teraz wyczerpani i głodni odpoczywaliśmy przed naszą lepianką, rozważając naszą sytuację rodzinną. Z 15 osobowej naszej rodziny 11 osób to my tu na bezdrożach kazachstańskich stepów, aresztowani, i wywiezieni, wraz z 6-ciorgiem dzieci.

Teraz nic nie wiemy o pozostałych z naszej rodziny. Aresztowanym w 1939 r. mężu Cioci Janie Gilejko i wywiezionym przez NKWD w nieznanym kierunku z miejscowości Stołpce. Nie znamy losu mego ojca Aleksandra Tumiłowicza, zmobilizowanego i walczącego z Niemcami w Armii Polskiej we wrześniu 1939 r. W Polsce pozostał jedynie rodzony brat mojej Mamy Bubień Stanisław z żoną Bubień Ireną i synem Władysławem.

Jako nieobecni podczas aresztowania ocaleli. W tym czasie przebywali w Baranowiczach mieszkając przy ulicy Szkolnej, z nimi mieszkała matka Ireny - Anna Marcinalis.

W pogarszającej się sytuacji materialnej całej Rodziny, mój wujek Bubień Stanisław podjął pracę na kolei w Baranowiczach jako ekspedytor wagonów wysyłanych do ZSRR - z towarami i zesłańcami. W przyszłości okaże się, że będzie dysponował b. cennymi dokumentami. Tylko przypadek i ucieczka przez okno do ogrodu przed NKWD uchroniło go przed aresztowaniem i zsyłką.

Wiele dni chodził po zakamarkach miasta w Lidzie i Baranowiczach, nie wracając do domu, by uniknąć aresztowania.

Czynił to do chwili otrzymania dokumentów sowieckich uprawnia-

jących do pracy na kolei - o tym dowiedzieliśmy się później.

Teraz doskwierał nam niesamowity głód szukaliśmy wyjścia, śmierć z głodu stała się dla naszej tak licznej rodziny całkiem możliwa.

Pierwsze próby handlu wymiennego.

Obstąpiły nas kobiety kazaszki - mężczyźni pracowali, te nosiły na rękach z sobą małe dzieci. Na kocu przed lepianką ułożyliśmy resztki przedmiotów przeznaczonych do handlu wymiennego. Różnokolorowe guziki, parę igieł, małe ręczne lusterko, scyzoryk, kilka łyżek, widelców, szalik damski, kilka chusteczek do nosa, korale, jedną z ciepłych chust wełnianych, obrazki religijne z Polski i inne.

Natychmiast wyciągnęło się wiele rąk po te dobra nasze, nie widzieliśmy jednak towaru wymiennego. Dawaliśmy znać na migi, że potrzebujemy żywności, bez skutku.

Podjęliśmy ryzykowną decyzję. Koc z towarami zanieśliśmy do lepianki, wywołując szmer niezadowolenia kazaszek.

Czy naraziliśmy się już na początku ?

Daliśmy do zrozumienia, że i tak oszukać nie damy się, zresztą nie mieliśmy wyjścia. Kobiety wkrótce odeszły. Ostatniej z nich oddaliśmy łyżeczkę do herbaty to złagodziło nastrój, wszystkie z nich przyglądały się temu przedmiotowi ciekawe. Pierwszy raz widziały metalową łyżeczkę. Tu używało się do jedzenia palców, a w szczególnych sytuacjach coś w rodzaju łyżek drewnianych.

Cóż było dalej robię ?

W oddali zauważyliśmy około 2,5 km od nas małe stadko kóz i bydła,

pilnowanych przez 3-ch pastuchów.

Musieliśmy zdobyć trochę mleka dla Helenki i Zbyszka - ciepła woda przegotowana z 1 kostką cukru nie dawała poczucia sytości.

Pierwsza wyprawa w step.

Do widocznych w stepie pastuchów zdecydowała się udać moja Mama z prośbą o kubek mleka, towarzyszyć miał 17 letni brat Tazio. Doszliśmy do wniosku, że lepiej iść z którymś z dzieci, to przekona. Wybór padł na mnie - szedł mi 8 -my rok, mogłem iść. Trudno zaś nieść na ręku w obie strony małe dziecko. Przecież i tak nic dalej nie wiadomo co może w drodze spotkać.

O tym, że step jest pełen żmij jeszcze nie wiedzieliśmy.

Szliśmy. W ręku niosłem blaszany półlitrowy kubek. Powoli zbliżaliśmy się.

Pasterze przyglądali się nam z oddali wsparci na kijach. Ukłoniłem się jak mogłem najniżej, Mama powiedział dzieńdobry po rusku. *ROSZYJSKU*

Powitanie z ich strony nas zaskoczyło.

Najwyższy z nich podszedł, wytrącił mi kijem z ręki kubek i przewracał go na różne strony przyglądając się, może wzorom ~~nie~~ emalii, a może wogóle takiemu wytworowi. Dwaj pozostali przyglądali się nam. Wkrótce dał znak nam byśmy odeszli. Nie odchodziliśmy. Mamie łzy napłynęły do oczu, dawała na migi do zrozumienia że jesteśmy głodni, wskazując rękami raz na stadko zwierząt to na moje usta. Rosyjskiego nie znali, ale mowę gestów zrozumieli. Rozejrzeli się wokoło - nikogo prócz nas nie było. Step falował trwą jak morze na lekkim wietrze, u góry wysoko wisiało słońce, mijało

południe, daleko przed nami czerwieniły się duże połacie tulipanów, niosące miły zapach.

Kazach ubrany w kozuch, ciepłą czapkę o surowych rysach twarzy, spojrzał na nas, zmarszczył czoło, splunął kilkakrotnie wzdłuż swe- go kija, po czym podniósł kubek i wolnym krokiem poszedł w stronę stada. Przywołał nas ruchem ręki. Udoił kubek mleka koziego, po- dał mi. Co za cudowny napój zwłaszcza dla głodomora, nie wiem kiedy połknąłem płyn o rozkosznym smaku wypełnił mój żołądek. Odebrał mi kubek, udoił znów - podał Mamie, chciała odejść, nie pozwolił. Ruchem ręki "pij" wskazał. Twarz Mamy spłonęła rumieńcem, piła po- woli, a Kazach przyglądał się. Coś w rodzaju uśmiechu gościło na jego twarzy. Przyglądał się, z bliska może podobały się niebieskie oczy, czy wielkie zażenowanie. Udoił jeszcze jeden kubek podał Mamie i kijem dotykając nas dał do zrozumienia, że możemy wracać.

Długo kłaniałem się odchodząc. Po drodze jak było w zwyczaju naszym na Polesiu - Mama śpiewała cały czas znane piosenki z na- szych terenów, głos czysty, piękny, powracał echem, powtarzał się wielokrotnie w stepowej dali. Byłem szczęśliwy i bardzo wzruszony. Równina stepowa wydawała mi się bardzo piękną.

Mleko rozwodnione przegotowaną wodą, stanowiło wielki smakołyk dla niemowląt. Długo cmokały - domagając się więcej...

W czasie naszej nieobecności Tadzio upolował w stepie kilka susków, dowiadując się od kazaszek że są jadalne.

Zaniósł nad ich nory 2 wiadra wody którymi dysponowaliśmy i wlewając ją zmusił je do wyjścia. Teraz na kiju wypatroszone sma- żyły się przy lepiance opalane ogniem, skwarczał, topiący się na nich tłuszcz. Trochę w wielkości podobne do szczura, o budowie bardziej krępej, krótkiej szyi. Jedliśmy wszyscy po kawałku, sma-

kowały.

Wkrótce Tadzio nas podszkolił, jak należy polować. Wlewa się wodę do nory zazwyczaj schodzącej w dół przez metr pionowo.

Trzeba mieć przygotowane 2-gie wiadro wosy, aby zachować ciągłość wlewu i nie dać zwierzęciu złapać powietrza. Wkrótce ukazuje się nad otworem głowa ratującego życie susła. Teraz należy umiejętnie wyczuć moment i uchwycić z tyłu między głową a tułowiem ręką uciekającego susła, wyciągnąć i natychmiast uderzyć nim o ziemię, by zabić lub oszołomić. Spóźnienie się o ułamki sekundy i niedokładność, lub brak zdecydowania prowadzi do jego ucieczki lub ugryzienia w rękę.

Wkrótce my starsze dzieci przeszliśmy szkolenie praktyczne, dźwigając przez wiele godzin i niosąc w step nabraną w rzece wodę. Początkowo traktowaliśmy jako zabawę, potem okazało się to ciężką dla nas pracą, ale dziennie potrafiłyśmy upolować 3 -6 susłów. Nauczyłem się zdejmować z nich skórki, rozpinać na lepiance i suszyć. Zszywane potem przez dziadka lub Mamę służyły do ochrony naszych stóp, rąk, pod nogi w lepiance. Za 25 skórek można było dostać od Kazacha 1 placek pszenny o wielkości około 30 x 30 cm. Skórki te nam kradziono z lepianek w nocy. Wkrótce opanowałem 2 -gi sposób łowienia susłów. Doganiałem biegnące na stepie, a w momencie wchodzenia do nory, za tylne nogi lub ogon chwytałem ręką i wyciągałem, uważając by odwracając się nie ugryzł. Początkowo próby stały się nie udane. Z okaleczonymi rękami wracałem do lepianki,

Później stosowałem wnyki, wykonane z włosia splecionego z konińskiego ogona, mocowałem je na kołku przed norą, zwierzę złapane niejednokrotnie wyrывało zamocowanie i uciekało wraz z nim.

W dniu z nieudanymi polowaniami głodowaliśmy. W polowaniach pomagały mi, zwłaszcza w 1941 r. moje siostry Teresa i Justyna, oraz siostrzeniec Rysio.

Ponownie do pracy w kołchozie.

Następny świt, to wezwanie do pracy w kołchozie. Wizyta "pre-dsiedatiela" (zarządzającego). Jeszcze ciemno, a już starsi musieli wyjść do pracy, poganiani krzykiem "ze słowami "byliście aresztowani i nikt wam tej kary pracy nie darował". Na słowa Cioci i Babci "nasza liczna rodzina głoduje - nie mamy co jeść ". Odpowiedział "Trzeba zarobić w kołchozie". "Kto nie pracuje nie będzie jadł". "Niech zdycha".

Na słowa Tadzia "myśmy was nie prosili o przywiezienie tutaj - - jesteście w roli niewolników, zmuszacie nas do pracy" - odezwał się "milcz durniu - bo zgłoszę do NKWD i dostaniesz 10 lat ciężkich robót".

Znowu zostaliśmy głodni. Tym razem, wyszedłem około 2 km w step - mój rówieśnik - syn kazacha pokazał jak odnajdywać dziki czosnek i cebulę, nauczył rozpoznawać po naci.

Przynieśliśmy cały pęk dzikiej cebuli. Jeszcze - znaleziona przez Babcię w węzełku garstka mąki zabranej z Polski - pozostająca w narożu worka, teraz nas uratowała. Wkrótce jedliśmy coś w rodzaju cebulowej zasmażki, przygotowanej na sułim tłuszczu (2 upolowałem).

Przyszła też kazaszka - widząc naszą krytyczną sytuację przyniosła pszenny placek, przysmak tubylców, kawałeczek różowego sera wygotowanego z serwatki - b. smacznego, i czaszkę owczego mleka dla niemowląt. Za to otrzymała od Babci Babci pół torebeczki pol-

skiej herbaty.

Ten towar stał się dla niej najcenniejszy, uśmiechnęła się szeroko. Teraz mogliśmy i naszym kochanym kołchoźnikom, wracającym po zachodzie słońca z pracy, zostawić coś do zjedzenia. Przez cały dzień nic nie dano im do jedzenia, wymagając pracy. Pracowali znów przy zbożu, przegryzając od czasu do czasu pszenicę. I tu było niebezpieczeństwo. Pszenica przeznaczona na siew wiosenny (jakżeż późny) w części workach została zatruta. Worków tych nie oznaczono, po to aby ziarna kołchoźnicy nie kradli. Tylko kobiety miejscowe poznawały po zapachu, do których worków wsypano te substancje i od nich zależało nasze życie.

Przecież mogły złośliwie wskazać inny worek. Tym razem ryzykowała nasza cała rodzina. Za pazuchą przyniosły 3 osoby po 2 garści pszenicy (Tadzio, Mama, Ciocia) wkrótce podpieczona ona została na patelni i ze smakiem wszyscy chrupaliśmy.

"Kołchoźnicy" nasi padli do odpoczynku wkrótce usnęli. Tylko my na zmianę podkładaliśmy do naszego pieca uzbierany kiziak aby utrzymać tłący się ogień i jakieś ciepło.

Nasze najmłodsze pociechy budziły się bolały ^{im} brzuszki po owczym mleku. Na drugi dzień jak zwykle rano wezwani zostali nasi do pracy - tym razem w step do zasiewów. Dojście do pracy piechotą 6 km. Kto zechciał mógł wracać do lepianki w nocy przez step bo praca trwała od świtu do nocy. "Od zary do zary" jak mawiał brigadier z godziną przerwą na obiad. Tadzio bywał cały tydzień w stepie - Mama z Ciocią wracały, aby zobaczyć swoje maleństwa chociaż, ^{ku} wyruszając o świcie ponownie do pracy. Z pracy i do pracy odbywały codziennie po 12 - 14 km pieszo. Tam już ziarna brać nie mogły - nie wiadomo, które zostało zatrute. Nie otrzymywały też

żadnych racji żywnościowych za uprzednio przepracowane dni.

Tylko zaradni mogą przeżyć.

Tymi słowami pożegnał nas brygadier rano. Szukaliśmy wyjścia - wcieliśmy szansę w nawiązaniu serdecznych stosunków z kazachami, którym przecież też ich dawne tereny zabrano. Byliśmy jedną rodziną polską tu wśród kazachów, w części od nich zależało nasze życie.

W NKWD - wyraźnie nam powiedzieli w Aktiubińsku "nie wolno wam się nigdzie ruczyć z miejsca pobytu bez naszego pisemnego zezwolenia - my wiemy gdzie jesteście".

A więc traktują nas jak więźniów zesłanych do prac przymusowych. Z tych względów nie mogliśmy skorzystać nawet z pomocy lekarskiej. Tu nie było w pobliżu żadnego punktu sanitarnego nawet gdzie w ~~naszych~~ ^{naszych} wypadkach można byłoby liczyć na jakąkolwiek pomoc i wogóle opiekę ze strony władz ZSRR. Nadzieja tylko w Bogu, i naszej zaradności. Musieliśmy umieć szybko przystosować się do najtrudniejszych warunków życia.

Nawiązujemy kontakt z Kazachami.

Mieliśmy dzień wolny przed świętem 1-go Maja "wychodnoj". Ci prości, ale dość serdeczni ludzie - nie mogli przyzwycząić się do naszej kultury osobistej, ale rozumieli naszą sytuację. Zacieśnienie stosunków przyjacielskich uzależniali od prowadzenia handlu wymiennego z nami. Ale my skazańcy prawdę mówiąc nie mieliśmy czym handlować, przyjechaliśmy tu ^zosobistej odzieży, a zapasy ⁰¹jskie-

kolwiek stanowiły niezbędne minimum na najbliższy okres.

Wkrótce dowiedzieliśmy się, że możemy napisać 1 list w miesiącu do najbliższej rodziny w Polsce. Na szczęście, uciekający przed NKWD oknem do ogrodu brat mojej Mamy Stanisław - nie tylko ~~uniknął~~ ^{UMKNAŁ} przed aresztowaniem, ale zdołał uzyskać właściwe dokumenty od władz ZSRR okupujących nasze tereny i uzyskać pracę na kolei. Z wielkim żalem (jak potem się okazało), próbował nam pomóc na stacji w Baranowiczach, w dniach od 14 - 16.IV.1940r. ale nic nie mógł uczynić, zostaliśmy już zaryglowani w wagonach. Zapisał numery wagonów i próbował ustalić kierunek wyjazdu z miejscem zsyłki.

Na szczęście myśmy jego adres znali, liczyliśmy tu na nawiązanie kontaktu.

Teraz musieliśmy ratować życie.

Po południu niespodziewanie odwiedził nas brygadier ogłaszając, że zbliża się 1-szy Maja, wielkie Święto Pracy i jest to dzień wolny, ale obecność na "mitingu" obowiązuje.

Zbyliśmy to milczeniem.

Wkrótce przyszła do nas zaprzyjaźniona kazaszka niosąc czar-kę mleka tym razem koziego,, orientując się, że owcze nie jest dobre dla polskich małych brzuszków. Natychmiast otrzymała parę ładnych guzików, igieł i wstążkę do włosów - to przesądziło o zawarciu trwałej przyjaźni. Z biegiem czasu dowiedzieliśmy się ~~z~~ informacji jaką przekazano o nas z NKWD tubylcom, cytując słowa "To są skazańcy i trzeba ich wykorzystywać przez cały czas do wszystkich prac, wrogów ludu nie żałować".

Wizyta przyjacielska.

Wkrótce otrzymaliśmy zaproszenie do odwiedzenia oficjalnego sąsiedniej lepianki. Poszliśmy w 3 -kę Tadzio, Mama i ja "wiercipięta" - wszędzie starałem się znaleźć.

Wręczyliśmy, przedostatnie całe pudełko herbaty, to najcenniejsze dla nich.

Co ujrzałem w lepiance, podobnie zbudowanej jak nasza, ale solidniej z podwójnie plecionych ścian, 3 pomieszczenia, z obszernym piecem i sienią używaną na skład opałowy.

Całe wnętrze, pomieszczeń zostało bardzo starannie wysmarowane ~~zajem~~ ^{Tojnem} krowim, teraz tworzącym równą zeszlą skorupę, co oznaczało tu niezwykłą dbałość o dom kosztem opału. Wszelkie szczeliny zatkane zostały suchą trawą stepową, na której także występowała tu warstwa izolacyjna.

Coś w rodzaju kuchni z wypalanej gliny z dwoma otworami na naczynia.

W lepiance było ciepło.

W jednym pomieszczeniu, stał na czarno pomalowany kufer, obity metalem, zamknięty na kłódkę, nie duży około 1.5 mb x 1 mb, dalej na półce z wikliny wiele czarek drewnianych ręcznie malowanych w jasne wzory roślinne na tle brązu, leżało parę łyżek drewnianych, wisiała na końskim włosiu spora igła sporządzona z kości, dalej stał samowar. W jednym z pomieszczeń w kącie stały 2 wiklinowe plecionki prostokątne (do spania) zamocowane 2 prycze w ścianie, sporządzone z odpadów drewnianych. Dalej coś w rodzaju grubej derki ręcznie plecionej z wełny owczej, leżało parę okryć do pracy "kufajki" kołchoźniane, rozczłapane brezentowe obuwie, jedna

para wojłoków i to wszystko. Stała też stara zakurzona lampa - prawdopodobnie naftowa, nosiłki do wiader, bat. Z każdego pokoiku, można było przejść do następnego przy pomocy "drzwi" plecionych z wikliny. Otwór wejściowy bardzo niski. W jednej z czarek trochę tłuszczu baraniego, w drugiej szczypta soli. W sieni ułożony w stertę kiziak aż pod pułap - przesychał.

Gospodyni wdzięcznym ruchem rąk zaprosiła nas z uśmiechem radości do wewnątrz. Serca nam biły z przejęcia, uważaliśmy ich za dzikusów, a tu taka serdeczność. W drugiej izbie okazuje się jest mąż kazaczki - po południu miał jechać po prowiant dla kołchozu do Pietropawłowki, odległej od naszej miejscowości o 7 - 10 km.

Na wszelki wypadek pokazał "papier" Mamie, aby przypadkiem nie miała wątpliwości co do jego osoby. Na kufrze siedział syn ich młodszy odemnie, skłonił się, uczyniliśmy to samo. Kazach pogładził ręką cienkie swoje długie zwisające wąsy, uśmiechnął się i zaprosił nas, abyśmy siedli na klepisku koło samowaru po "turecku". Nie bardzo nam się to udało. W samowarze już wrzątek. Wkrótce do herbaty gospodyni dodała trochę tego łożu, odrobinę soli i ceremonia picia rozpoczęta. Gdyby nie łoż i sól całkiem dobry napój. Etykieta gościnności nie pozwalała nam nawet skrzywić się, gospodarze przyjęliby to równoznacznie z brakiem przyjaźni, obserwowali nas bacznie.

Tu picie herbaty stało się rytuałem. Czynność tą wykonuje się rano w dodatku w ciepłym ubraniu (w waciakach), po to by po chłodnej nocy organizm na krótko przegrzać zapobiegając w ten sposób chorobom. Wykonywanie tego obrzędu w innych porach dnia świadczy o wielkiej gościnności.

Po ceremonii, gospodarze przystąpili do pokazania czym dyspo-

nują , moment ten stanowił jednocześnie wstęp z określeniem reguł handlu wymiennego, od tej pory solidnie obowiązujące obie strony. Nam także na tym zależało, aby jaknajprędzej znieść bariery nieufności. Od dobrego lub złego układu zależało nasze życie.

Obyczaje i skarby kazachów.

Zaczęliśmy od wręczenia, ładnej malutkiej srebrnej łyżeczki do herbaty, kilkunastu kolorowych guzików, wyszywanej w fiołki ręcznie chusteczki do nosa, oraz małej apaszki.

Jak na pierwszy raz, to i tak dużo. Prym, tu wiodła gospodyni. Do kufra miała dostęp tylko ona. Poleciała zejść z kufra siedzącemu z nogami podciągniętymi pod brodę synowi, prawie w moim wieku.

Chłopak ubrany, coś w rodzaju szarej bluzy, miał na sobie kaptan i zwężające się ku dołowi spodnie w tym kolorze typu "pompy", na nogach ^{nie} miał skarpetek ani butów. Dlatego okupował miejsce na kufrze. Kazaszka umiała parę słów po rosyjsku jak "dziękuję", bierz, daj, idź". Zauważyliśmy, że klucze do kufra nosi wplecione z tyłu we włosach, wyplotła je, i otworzyła górne wieko. Sądziliśmy tak, że za chwilę ujrzymy skarby.

Ujrzeliśmy zawartość: parę kawałków kolorowych materiałów - - chyba z perkalu w kolorach niebieskim i żółtym, kawałek płótna czerwonego z flagi. Kilka kawałków cukru w kostce (na spotkanie z wybitnymi gośćmi). Kilka drewnianych klamer do paska, łyżek z drewna, duża fajka drewniana, malutki miedziany czajniczek, woreczek wysuszony na tytoń, małe damskie, kolorowymi nićmi ręcznie wyszywane ciżemki, kilka drewnianych rzeźbionych ręcznie ozdób z motywem głowy barana, kilka guzików drewnianych o dziwnych kształtach,

różnych figur geometrycznych, w kształcie półksiężyca, parę monet starodawnych - i nasze okazy poprzednie. Pokazała nam też małe "zawiniątka" w szmatce - to "rymszuk" wielki przysmak dla nich i dla nas - kawałek wielkości dziecka pięści - wygotowany z serwatki zbity ser o kolorze różowym konsystencji zbitej - pozostawiony na czarnej godzinę. Jak dowiedzieliśmy się taka ilość powstaje z 3 - 4 wiader serwatki - gotowanej przez 3 - 4 dni aż do całkowitego odparowania. Ze względu na ilość zużytego opału rzeczywiście produkt kosztowny. Po doprowadzeniu tego specjału do zbitej konsystencji - dosusza się jeszcze go na słońcu. W tym stanie można go przechowywać od 3 - 5 lat. Nie zauważyliśmy - obok pryczy stał czajnik z długim "dziubkiem" cienkim. Mama spytała "eto czto". Gospodyni usiadła w kucki w rozkroku na klepisku i pokazała jak go się używa. Płucze się wodą przegotowaną każdorazowo części ciała zabrudzone przy załatwianiu się (czynnościach fizjologicznych).

Zauważyliśmy, właśnie w dni poprzednie, że sąsiedzi odchodzą o różnych porach dnia z czajnikami w kępy traw stepowych oddalając się o 100 - 150 m od lepianek. To nam się podobało - w tej czynności są od nas wyżej kulturowo - dbają o higienę - nie używają papieru.

Gospodarz z pietyzmem - przyniósł z drugiego pokoju mały bardzo zniszczony kolorowy dywanik tkany we wzory geometryczne i motywy roślinne i próbował pokazać do czego służy - do modlitwy. Rzeczywiście część kazachów starszych, o wschodzie słońca, w południe, o zachodzie ocprawiała modły, zwracając^{się} w stronę słońca, pochylali się głęboko w przód klęcząc na kolanach, chociaż NKWD im tego zabraniało uznając to za bzdury i stratę czasu. Tu okazało się po dłuższym

naszym pobycie, że nastąpił podział nazw.

Część tybulców nazywano Kazachami, część Kirgizami. Nie mogliśmy zrozumieć dlaczego? Okazało się, że nazwa "kirgizi" pozostała przy tych, którzy nie wyrzekli się swojej wiary i obyczajów mimo represji NKWD - kończącej się nawet rozstrzelaniem, czy zsyłką do ciężkich prac w syberyjskich kopalniach.

Zaprzyjaźniliśmy się bliżej z naszym byłym woźnicą przy przeprowadzce "Babajem" i jego najbliższymi przyjaciółmi - Ci mówili po kazachsku nie używając języka rosyjskiego - udawali, że go nie znają, po to by uniknąć wielu prac. Obchodzono tu także święto wyłącznie kazachskie "BIES-KUNAK", dowiedzieliśmy się kiedyś - pod koniec marca. W tym czasie występuje przeważnie wielka i długotrwała (od 6-15 dni) zawieja śnieżna. O pracy wówczas nie ma mowy. Każde żywe stworzenie wyszukuje dobrego miejsca w początkach zawiści aby przetrwać. Część zwierząt pozostaje w letargu, jakgdyby pod śniegiem przesypiało. Święto obchodzi się na cześć 5 podróżnych idących do swoich najbliższych przyjaciół - podczas "BIES KUNAK", którzy zasypiani śniegiem nigdy do celu nie doszli. Tubylcy są też zabobonni, wierzyli w duchy gór i stepów - może rzeczywiście występujące dziwne zjawiska skłoniły ich do tego (opisane one, zostaną w dalszej kolejności). Potrafili wierzyć w możliwość chorób z ziomek chorych na osoby zdrowe, przeważnie na obcokrajowców nie zaskarbiających przyjacieli.

Chorego w swoim domu obchodzili wielokrotnie wokoło, modląc się wychodzili w step i góry, następnie odwiedzali osoby sobie mało przyjazne, niejako przenosząc tą chorobę na nich. Chory w tym czasie zdrowiał. Tak jak opowiadali - kiedyś ich przodkowie mieli tu

bardzo liczne stada baranów, kóz, bydła, koni. Całe te tabuny dzikich koni hasały jako dzikie w stepach, wyłapywane przez kazachów tylko potrzebne ilości. Nie bez racji twierdzi, że konie żyjące na wolności zachowywały w ten sposób czyste rasy i wielką kondycję.

Z wełny owczej budowano ciepłe stepowe jurty dla całych rodzin. Gruby wojłok (15 - 20 cm) nie przepuszczał zimna, ani upału. Jurty przenocowano z miejsca na miejsce, nie czyniąc szkód środowisku.

Mniej chorowano posiadając pod dostatkiem mleka, mięsa, ubrań ze skór i okryć z wełny.

Prowadzono handel wymienny, uzyskując potrzebne towary.

Po zajęciu terenów przez władze rewolucyjne ZSRR, stada zostały zniszczone, kirgizów przymusowo wcielono do kołchozów, tych którzy się na to nie godzili wywieziono lub rozstrzelano. Pozostali zbudowali sobie lepianki.... Dobytek pokoleń zniszczono i zrabowano. Jeszcze dziś można było spotkać piękne ręcznie wykonane białaki, uprzęż, broń, pasy, uzdy, resztki butów.

Kazachowie wspominali dawne czasy. Obyczaje zachowania sprawności: wyścigi konne, popisy sprawności i zręczności. Teraz czekała ich tylko praca w kołchozie od świtu do nocy. Tępiono systematycznie kulturę kazachską. Zmuszano do uczestnictwa w zebraniach ideologicznych, na którym spali bez rozumienia narzucanych idei.

Katorżnicza praca w stepie.

Do święta 1-go Maja jeszcze dzień. Dziś ze wschodem słońca znów przyszedł ze specjalnym grubym biczem (nahajką) brygadier. Wezwanie do pracy w stepie przy bronowaniu wołami zasianych pól.

Krzycząc jak tylko można najgłośniej i klnąc poderwał rozspaną 3 -kę z rodziny. Dalej nie mogłem zasnąć. Straszyl NKWD - wychodzących. Poszli głodni. Wrócili piechotą późną nocą. Z głodu ~~z~~ zmęczenia niemal płakali.

Nie mieli siły odpowiadać na pytania, padli by odpocząć. Dziadek z Babcią podali "zupę cebulową" okraszoną garścią mąki i osoloną. Zjedli, dopiero za chwilę rozpoczęli opowiadania. Szli pieszo przez step 7 km do pracy i z pracy, brygadier wskazał w jakim kierunku mają się udać - sam odjechał koniem na 2-kołowym zaprzęgu w stronę magazynu zboża do kołchozu "Czan - Czar".

Tam w stepie - następny "przodownik pracy" zaczął nauczać jak zakładać jarzma wołom i jak je bić podczas pracy by chciały iść".

Powiedział, jeżeli zwierzęta padną na skutek katowania mniejsze to zło niżby stały nie pracując:. W razie czego znajdziemy inne - kołchoz ma ich kilkanaście. W rzeczywistości dysponował 6 -cioma parami.

Wszelkie tłumaczenia Mamy i Cioci, że tego nigdy nie robiły, a jarzma są za ciężkie na nic się nie zdały.

Zagony pól długie na 7 km, szerokie 5 km. W oczy wiał stepowy pył unoszony z roli. Brygadier ustalał tak wysoką normę, że gdyby nawet nie korzystać z 20 minutowej przerwy obiadowej, pracy w 70% nie można było wykonać. Ustawili się każdy ze swoim zaprzęgiem obok, i szli za wołami, bijąc je co 10 -12 metrów, a one i tak stawały, nienapojone i nienajedzone. Szczególnie katowanie zwierząt trudno znieść. Woły padały po około 5 - 6 dniach zdychając. Nie pomogło karmienie i pojenie.

Obiad kołchoźnika

Czas obiadu trwał 20 minut. Wyprzęgan^o z ^{jażma} jaszeza woły na odpoczynek. Nie mogły one najeść się trawy, te duże zwierzęta potrzebują co najmniej 3 - 4 godzin.

W stepie zatrudniono jako kucharkę kazaszkę. Gotowała ona w dużym metalowym kotle obiad dla pracujących. Sama donosiła suchy "ki-ziak", lub korzystała z zapasów zgromadzonych w szopie. Od rana trwało przygotowywanie obiadu. W szopie wisiały półcie mięsa pochodzące z niedawno padłych wołów. Nieumyte i pełne much mięso, rąbała ona na kawałki, część zakopując ukradkiem pod kępy traw, by potem wynieść do swojej lepianki, a niewielką ilość wrzucała do kotła. Wrzucała tam także parę garści długich pasków makaronu, w końcu wlewała z wiadra nie pierwszej świeżości zsiadłe mleko. Kucharka kazaszka, nie bacząc na pływające muchy, wyłapywała z wrzątku kawały mięsa i zjadała. To jej prawo jako kucharki. Podczas t.zw. przerwy obiadowej wszyscy pracujący ustawiali się w kolejce, a Kazaszka dużą chochłą nalewała do różnych naczyń podstawianych przez kołchoźników. Jedno danie obiadowe. Jeżeli jakiś kawał mięsa dostawał się do chochli, uznany przez nią za duży, brudną dłonią wrzucała go spowrotem do kotła, lub na oczekaniu jadła.

Część głodnych, którzy mieli zaszczyt uczestniczyć pierwszy raz, na ten widok wymiotowało. Potem przyzwyczajali się. Wiele osób nie zdążyło zjeść, będąc w odległej pozycji kolejki oczekujących na ten obiad. W następnym roku będąc pomocnikiem pastucha, stada krów - doznałem także tej przyjemności, z tą różnicą, że zamiast całej chochli obiadowej, jako 9-letni prawie małolat dostałem pół chochli tego płynu, zaprawianego muchami, trudno uwierzyć,

ale nie zachorowałem po tym obiedzie. Nasi kołchoźnicy do pracy w stepie chodzili co 2-gi dzień, pozostałe dni brygadier gonił nahajką do magazynu ze zbożem, w kołchozie **Czan - Czar**.

Tadzio nazywany przez niego "basałyk" - zawsze z humorem radził sobie dobrze. To podczas zimnych nocy stepowych przy ognisku tłącego się kiziaku opowiadał ciekawostki o Polsce, nie raz o duchach, zyskując uznanie u młodszej generacji pracujących. Zjednał sobie także sympatię Kazacha "Babaj", który nauczył go powożenie końmi, wołami i zakładania uprzęży. Tu dobry woźnica liczył się, chociaż praktycznie każdy chłopiec od lat 8 umiał jeździć konno, wierzchem bez siodła i dawał sobie radę z powożeniem. Kiedyś jadąc przez step do Pietropawłowki z Babajem usłyszał od niego taką oto piosenkę, którą nam potem powtórzył.

"Babaj" - uznając Tadzia za przyjaciela śpiewał "Kagda ja był Kirgiz, jeł machan i pił kumys, kagda stał Kazach, uj bojaj pra-pał kursak". Co oznaczało? "kiedy byłem Kirgizem jadłem mięso, piłem kumys (kobyłe mleko), kiedy uczyniono mnie Kazachem, zanikł całkiem mój ^{brzocho} żołądek".

Tu zawarł on sentencję prawdy, tego ustroju.

Wielkie Święto Pracy 1-szy Maja

Predsiedatiel (Dyrektor Kołchozu) zapowiedział wielką uroczystość z występami na 1,go Maja. - w pokoju obok mleczarni nazywanego świetlicą.

Obecność obowiązkowa. Ogłosił dzień wolnym od pracy. Poszliśmy tam, zanim trafiliśmy do wnętrza, musieliśmy obuwie wymazać w gnoju, innego przejścia brak. Na miejscu widzieliśmy kilkanaście osób. Stanowiliśmy jedną polską rodzinę w tej zapadłej dziurze, nas więc nie mogło zabraknąć. Kazaszki wystroiły się w kolorowe perkale,

nakładając na ręce metalowe i drewniane bransoletki. Na serdakach włożonych na sukienki, przy każdym ruchu pobrzękiwały naszyte monety. Wszyscy stali.

Predsedatiel przemawiał, wymachując rękami za stołem nakrytym płótnem. Rozkraczony na krześle, siedząc liczył ilość obecnych. Wreszcie odezwał się " ~~...~~, wywratowcy - nie przyszli". Wstał przemawiał - wprost krzyczał " Wielki Związek Radziecki z naszym prawdziwym geniuszem i ojcem Józefem Stalinem niesie nam i całemu światu dobrobyt " . . . " Wyzwolenie " ... zapewnia wszystkim "pracę " - " budujemy dla naszych pokoleń dobrobyt " i td.

Po nim przemawiali w swoim języku Kazachowie - wszystkich oklaskiwano, niejako z urzędu.

Wreszcie wstał Tadzio i po polsku powiedział "Polacy są w nędzy, a doprowadzili do tego kaci NKWD i ustrój bolszewicki". Nikt i tak nierozumiał, więc przemowę oklaskano". Przewodniczący imprezy na zakończenie podkreślił, że jest wojna i nie można się dobrobytu teraz spodziewać. 2,

Po przemówieniach odbyły się występy - śpiewy kazachów i płaśy ich dzieci, w porwanych pończoszkach - to najbardziej znamionowało wielkość ustroju i państwa.

Rozdano dzieciom nagrody 1 Majowe po 4 szt maluteńkich suchych ciastek. Jak dowiedzieliśmy się, miało to być po 4 paczki tych ciastek, ale cudownie 10-krotnie zmniejszyło się, czyż mógł nie dostać dziegięcej nagrody zarząd kołchozu i Predsedatiel.

Oprócz tego mieliśmy naprawę dużą i miłą niespodziankę. Ogłoszono tak " Zabity został duży wół z okazji 1-go Maja - najecie się mięsa".

Później dowiedzieliśmy się, że Kazachowie pomogli, aby w tym dniu ten wół padł.

Naprawdę kochani ludzie.

I oto dostaliśmy tym sposobem 6 kg mięsa na 11 osobową rodzinę - gotowaliśmy do północy, co za niesamowity zapach, jak dobrze mieć poczucie sytości. Kilogram mięsa, wymieniliśmy za dostawę mleka dla naszych pociech (10 litrów), to im pomogło żyć dalej.

Kopciłka kazachstańska.

Swiece przywiezione z Polski kończyły się. W lepiance wraz ze zmierzchem panowały ciemności. Rozświetlał je mały płomyk zapalającego kiziaku.

Mieliśmy małą butelkę. Tadzio od traktorzysty ze stepu przyniósł trochę nafty i kawałek sznurka. Umoczył sznurek w nafcie - owinął nim butelkę okrężnie poniżej szyjki, zapalił i trzymał pionowo. Na gorącą butelkę wlał zimną wodę, górna część - równo okrężnie pękła.

W naszych rzeczach znalazł kawałek aluminium, wyciął okrągłą nakładkę, przedziurawił po środku, nałożył na górną uciętą część butelki, zaginając ku dołowi. Następnie do wewnątrz nalał nafty, a przez otwór blaszki wsunął zwykłe nasączone w nafcie sznurowadło. Ponad blaszką zakołysał się mały wydłużony płomień ognia, kończący się u góry cienkim warkoczem dymu.

Tak powstała nasza kazachstańska lampa, trwała, niezawodna, ekonomiczna, zużywająca 0,5 litra nafty tygodniowo.

To z nią przetrwaliśmy nasze wygnanie. Przy niej Mama na przywiezionej z Polski ręcznej maszynie "Singer" łatała resztki naszych ubrań siedząc do późnych godzin nocnych, mimo wykonywania codziennej pracy do zachodu słońca w kołchozie.

Lampa kopciłka - pozwalała - szyć zarobkowo niektóre rzeczy sąsiadom. Otrzymanych kilka rubli w tych najtrudniejszych czasach pozwalało nam przeżyć.

Melodia stepu.

Tulipany przekwitwały, zielen stepu gasła. Bielejące grzywy traw na wietrze grały wysokim tonem gwizdów, raz wznoszącym się to opadającym. Przed zachodem dźwięk ten jak gdyby przycichał, gasł. Swoją wielką płaszcz nocą odkrywała niebiesko - fioletowa kopuła - nieba, rozgwieżdżona iskrzącymi się rojami gwiazd.

Mijał lipiec. Miliardy polnych koników grały jakąś dziwną melodię tworząc całość - jak gdyby jakąś tajemniczą opowieść ich życia i istnienia.

W południe nad stepem zawisła cisza, wielka wszechwładna jak przestrzeń astralna. Od czasu do czasu naruszał ją ostry gwizd świstaka, stojącego na czatach, czy ostrzegawcze głosy susłów.

Często słyszałem daleki szum naszych 2-ch rzek o nazwie ~~Kds-~~ hała i Ryzdybaj. Tu wszystko było wtopione w jedność i całość przyrody. Codziennie nad stepem krążyło na różnych wysokościach kilkanaście orłów wypatrując zdobyczy.

Na rozpiętych skrzydłach wisały bez ruchu skrzydeł, spadając potem jak kule ze świstem w kępy traw.

Za płaskowyżem ciągnącym się nad kotliną parę kilometrów wznosiły się sine szczyty gór. Tam na ich podgórzu rosły piękne kremowe i purpurowe *libie* nakrapiane deseniami kropek, kresek z cudownym zapachem. Dalej wąwozy, pieczary i przepaście. Tubylcy obawiali się tych miejsc. Nawet szept, w tych pieczarach stawał się

zwielokrotnionym głosem, budzącym przestraszonych. Skały wydawały nagrzane w południe różne dźwięki, a niespodziewane przeciągi powietrzne to głośno trąbiły, to znów jękliwie zawodziły, nagle milcząc. Miejsca te uznane zostały za siedzibę duchów. Dalej ze szczelin pod szczytem wydobywały się z sykiem kolorowe gazy, a kto znalazł się w ich zasięgu padał martwy, leżało tam sporo ptaków i małe zwierzątka. Prawdopodobnie gazy były trujące. Nocą zaś języki ich ponad skałami świeciły. Step miał swoją naturę. Czasem gdzieś daleko zrywały się na nim leje wirującego powietrza, kępcząc wokół siebie wyrwane z podłoża dębła traw, burzany pył i wszystko co zdołały unieść, rosły na wysokość ponad stu metrów, to znów opadały nagle, kompletnie znikając.

Kazachowie ostrzegali, "pamiętaj schodź z drogi temu djabłowi - - bo potrafi unieść i wóz z końmi, a potem ze złością rzuca o ziemię." Widziałem kiedyś jak taka trąba powietrzna - zniosła z powierzchni w ciągu paru sekund lepiankę, po czym uniosła ku górze duży stóg siana i rozrzuciła go po stepie.

Bywały dni bardzo upalne, bezwietrzne, rozedrgane nagrzane powietrze tworzyło mistyczne obrazy i miraże. Pewnego popołudnia wychodząc po dziką cebulę (bez butów) których już nie miałem pokłułem sobie stopy o ostre kępy traw i siadłem odpocząć.

W pewnym momencie zobaczyłem ~~kazacha~~ ^{kazacha} przelatującego w moją stronę i niejako unoszącego się nad stepem, postać z koniem niezbyt wyraźna, rosła wraz z koniem do monstrualnych rozmiarów, zbliżając się. Moje przerażenie wzrastało. Wkrótce jednak wszystko znikło, a step jakgdyby drzemał w ciszy. Kazachowie powiedzieli mi "to ducha naszych przodków kirgiza ujrzałeś".

Tęsknota do Polski.

Nic tu nie przypominało mojej Ojczyzny. Gdzież ten majestat boru, kręte wśród zbóż i białej gryki drożyny? Gdzie dzikie ^{kwiaty} ~~korę~~ patrząc w stawu wodę. Grażele, z dużymi kwiatami, klaskające liśćmi o zmarszczoną brew fali.

Switezianki z niebieskimi skrzydłami i koncerty żabie. Dostajnie ~~kręcące~~ boćki, czy urok trzeć i szu^łarów z trelem ptasim. W snach i marzeniach wracał mój dom i pachniał owocami sad. Tęsknota do gniazda rodzinnego to ogrom męki, nie rozumiały dla tego, kto nie był banitą. Cierpieliśmy wszyscy, modląc się o powrót do Ojczyzny codzień. Nie mogliśmy zrozumieć - dlaczego z naszej ukochanej Polski, mimo tylu wysłanych listów nie nadchodzi żadna odpowiedź. Zazdrościliśmy kluczom ptaków, lecącym na zachód. Nocami pytaliśmy patrząc ^{nim} ~~nim~~ w gwiazdy, czy kiedykolwiek Bóg pozwoli jeszcze zobaczyć nasz Kraj.

Nie umieliśmy znieść i zaakceptować tej kultury niechlujst^{wa}. Chcąc zdobyć nieco mleka, nasze kołchoźniczki zgodziły się doić stado kóz i krów, odnosząc udój do zbiorowej zlewni mleka w kołchozie. Nie mogły jednak patrzeć - jak kazaczki zlewając mleka do kotła zbiorowego brudnymi palcami zgarniały śmietanę, a po zlizaniu jej czynność powtarzały.

Obrzydliwie także doiły kozy od tyłu, nie patrząc przy tym, że wpada do naczyń sierść, czasem kał i mocz kroplami (przecież i tak to mleko cedziły.) Nie mogliśmy nic żądać, bo każde żądanie czegoś mogło się skończyć pobiciem. Idąc za w^ęłami w stepie nasi kołchoźnicy, płakali, śpiewali, lub modlili się, aby łatwiej znieść udręki w skwarze słońca. Tylko Tadzio kpił z tego ustroju i Stalina.

W każdą niedzielę zwaną tu "wychodnoj" - przynosiliśmy stepowe lilie, i przy ozdobionym nimi ołtarzyku modliliśmy się o zmianę losu, wierząc w przetrwanie, tylko silna wiara dała nam moc przetrwania i silnie łączyła całą rodzinę.

Wreszcie na całą 11 osobową rodzinę dostawaliśmy za całodzienną pracę 3 osób 2 litry mleka.

Zabłądziłem w stepie.

Tu chłopcy stawali się samodzielnymi mając 8 lat, przedwcześnie w tych trudach dorosli.

Coraz częściej pomagałem paść w stepie bydła i poznając go nie unikałem samotnych wypraw po dziką cebulę czy susły,

Moja głowa sięgała ponad kępy traw, a z daleka na tej równinie w drodze powrotnej ustalałem kierunek widząc z góry Kabanhorę, Kunderluk i w kotlinie nasze lepianki - 5 maja 1940 r.

W upalny dzień oddaliłem się od naszego "sioła" około 4 km. Zajęty wyszukiwaniem dzikiej cebuli nie zauważyłem nagłej zmiany pogody i grubej warstwy mgły, nagle napływającej. Znalazłem się w prawdziwej pułapce. Nie wiedziałem, w którym kierunku wracać. Siadłem przy stepowej kępie trawy i płakałem. Ogarniał mnie strach i żal, że nigdy mogę nie wrócić - ba przecież step ciągnie się setki kilometrów bez osiedli ludzkich.

Zapamiętałem sobie jednak rady kazackie "Babaj", "Jeżeli zabłądzisz mów [!]nie denerwuj się i nie wpadaj w rozpacz. Słuchaj głosów ludzi - usłyszysz je z 3 km, ryk krów do 4 km. Szczekanie psów do 8 km. Szum rzeki do 2 km i w tym kierunku idź". Jeżeli nic nie usłyszysz uspokój się i zdej się na intuicję, ona nie zawodzi tego, kto umie z niej skorzystać."

Pozostała mi intuicja. Nie pamiętam ile godzin szedłem - mgła nadal wisiała nad stepem, przystawałem co jakiś czas, wsłuchiwałem się. Głodny i zmęczony, nie rezygnowałem z walki o życie. I oto w pewnym momencie z oddali usłyszałem jakgdyby szum rzeki. Udałem się w tym kierunku, docierając do jej brzegu. Napilem się wody, umyłem się, aby odzyskać rzeźkość.

Teraz musiałem rozpoznać czy jest to górską rzeka poza naszym rejonem Rzyzdybaj, czy Karhała, ustalić w którym kierunku pójść "z wodą" czy "pod prąd". Po długim namyśle obrałem dobry kierunek idąc w pewnej odległości od rzeki, aby ją słyszeć. Bóznym wieczorem kompletnie wyczerpany, dowlokłem się do pierwszych naszych lepianek... Rodzeństwo z Babcią odmawiali w mojej intencji "kto się w opiekę odda Panu swemu "....

Z prac stepowych nasi jeszcze nie wrócili, aby ich nie martwić, zachowaliśmy to zdarzenie w tajemnicy...

Szukamy pomocy

Napisany został list do NKWD w Aktiubińsku, z prośbą o przeniesienie do innego kołchozu, gdzie mogliśmy się porozumieć. Brak odpowiedzi - stawiało nas w kłopotliwej sytuacji. Nadal głodujemy, Kołchoz nie daje żywności, ani nie płaci za pracę. Dziadek widząc bardzo trudną naszą sytuację zgłosił się do pracy. Kołchoz budował ogrodzenie w ogrodzie wiklinowe. Nie mógł, ani dźwigać czy schylać się, ze względu na przepuklinę. Przez parę dni przed tem zdążył upleść z wikliny samolówkę do połowu ryb, którą miałem wypróbować w rzece.

My dzieci zbieramy kiziak, co ułożymy do suszenia stertkę przed lepianką, to nam ktoś ukradnie.

Postanowiliśmy składać w sieni, ale źle przesuszony gorzej się

pali.

Z ogrodu mamy korzyść. Rosnącą tam, cebulę, pietruszkę, marchewkę - pracujący kołchoźnik kradnie.

Wprawdzie brygadier zapowiedział "kogo złapię na wynoszeniu warzyw z ogrodu będzie miał zapewnione 10 lat kamieniołomów", ale ktoś w obliczu głodu zwraca na to uwagę. Teraz pracują tam i Mama z Ciocią. Upały dokuczają. Po kilku dniach kopania rowów irygacyjnych poprzez ogród, wynieśli Mamę zemdloną. Dalej zajmowała się wrywaniem chwastów.

Powroty kołchoźników, do lepianek wyglądały bardzo śmiesznie. Wracali gęsiego, nagle przed nimi wyrasta jak z pod ziemi kontroler - predsidiel. Wszyscy w pośpiechu z pod bluzek, rękawów, kieszeni wyrzucają najmniej widocznym ruchem warzywa. Niektórzy spuszczały ten towar w dół wewnątrz nogawek. Kontrolujący krzyczy "wot cziorty apiac ukrali"- "ach złodzieje znów ukradli". Ale dowodu przy idących nie ma. Tak jak codzień pozwala oddalić się idącym. Sam zbierze w pośpiechu te "specjały" i najspokojniej zanoszą do swego domu. Nawet jedna cebula na całą rodzinę ratowała nas przed szkorbutem.

Zmiana kołchozu

Ponawiamy prośbę pisemną do NKWD, w sprawie zmiany kołchozu. 7 maja 1940 r. zajeżdżają przed naszą lepiankę 2 furmanki. Pakujemy się - daremnie.

Natychmiast wylegli kazachowie - nie pozwalają nam odjechać. Kto będzie pracować powiadają.

Istotnie, szczególnie pod południe tubylcy przestawali praco-

wać, rozleniwiali się, a sam brygadier, podkładając ręce pod głowę zasypiał na 2 - 3 godziny, każąc w tym czasie Polakom pracować. Ostanie nasze zapasy. Wymieniliśmy lusterko ręczne, scyzoryk za "pyszki", nie mamy wyjścia.

13 maja 1940 r. zajechała po nas furmanka tym razem z uzbrojonym żołnierzem i pismem z NKWD - polecającym wydania - tyle i tyle "sztuk ludzi - Polaków." A więc liczeni jesteśmy na sztuki.... Tym razem - widząc broń tubylcy wychodząc jedynie przed lepianki - żegnają nas rękami. Przyznaję - żal mi opuszczać tych prostych i szczerych ludzi. Wyjątkowa cisza stepu. Brygadier obiecuje przesłać, wkrótce wyliczone, zarobione "trudodni", mówiąc tam wam wypłacać".

Jedziemy, zwierzęta ciężko dyszą, chociaż ciężar nie wielki na tym wozie drabiniastym. Kurzy się za nami. Żołnierz trzyma z tyłu w pogotowiu karabin do strzału, widocznie przewiduje próbę ucieczki. Zaczynamy śpiewać "Serdeczna Matko" - w oddali nikną nasze lepianki.

Głosy początkowo ciche potężnieją - odbijając się echem od stepowych dali, hen nad horyzontem. Łzy nam spływają po policzkach "za co tu z dala od Polski jesteśmy". Żołnierz pyta "czto wam tak skuczno" "Co wam tak smutno". Jeżeli on tego nie rozumie odpowiadać nie będziemy.

Dojechaliśmy do Aleksandrówki - należącej do kołchozu Czkałow - - Rodnikowski Rejon. Gospodarstwo około 2000 ha, 10 hektarów - większość zepsutych. ^{maszyn} Do miasta - Aktiubińska 52 km.

W nowym kołchozie.

Do miasta Aktiubińska mieliśmy teraz 52 km. Wreszcie pierwsze pocztówki i listy z Polski. Olbrzymia radość - chęć do życia. Całowaliśmy wprost listy - to przecież część Polski. Napisał brat mojej Mamy Bubień Stanisław, podając "Niemcy są za Bugiem - Polska w niewoli, pracuję na stacji pod zarządkiem władz ZSRR.

Prosiliśmy o przysłanie machorki, mąki, cukru, soli, słoniny - nie wiedząc o tym, że tam też trzeba stać całą rodziną ~~z~~^z tym w kolejkach.

Tu traktorzyści zarabiali po 250 rubli miesięcznie i 3 kg pszenicy za każdy dzień pracy - marzenie dla nas. Dniówka "trudodzień" Polaka równał się 30 - 40 dkg mąki, czasem 1 kg ziemniaków - praca od świtu do nocy. Młodzież i starcy pracujący otrzymywali za dniówkę pracy 20 dkg mąki.

Mija 17 maja 1940 r - sadzę pokrojone ziemniaki - kiedy one wyrosną ? Nasza nowa lepianka podobna do poprzedniej, sufit namaka podczas deszczu. Cały róg zagrzybiony. W nocy mamy bóle głowy, nieznośny zapach pleśni. Justyna i Teresa, przestają chodzić, chorują na stawy. Chorują także moja 3-cia siostra Helenka i siostrzeniec Zbyszek, źle czuje się Rysio. Noce jeszcze bardzo zimne, brak opału, nakrywamy się czym można. Przychodzą upały 40 - 45°C w południe.

Wszystko zamiera cichnie. Obok płynie ta sama rzeka Karhała - - znacznie szersza, niż w kołchozie Czan - Czar - ch^odzę łowić ryby. Dziadek z gwoździa wykonał haczyk, znalazłem jakiś sznurek. Używam samolówki. Po raz pierwszy próbuję szczupaki łapać na wnyk z białego końskiego ogona. Sztuka bardzo trudna. Trzeba bardzo powoli

podejść szczupaka "stojącego" z tyłu, nałożyć mu pętlę w wodzie poza oskrzela, szarpnąć do tyłu, ku przodowi błyskawicznie i wyrzucić na brzeg. Udaje się. Przyniosłem 2 spore szczupaki. Do miski owiniętej gazą z otworem około 4 x 4 - też wchodzi ryby, do samolówki wiklinowej także. Wielkie święto około pół wiadra ryb i 2 raki. Cała rodzina ma co jeść.

Sianokosy - trawa stepowa żółknie.

Nad wieczorem koncert miliardów koników polnych, milknący po zachodzie słońca.

Do sianokosów zgoniono całą młodzież z miasta, przywieziona tu ciężarówkami - mają oddzielne wyżywienie, dobre obiady. To komсомolcy. Zgrabiają i wrzucają na wozy, z wozów formują duże podłużne kupy do wysokości 6 - 8 mb., nazywają je "skirdami".

Bazy dla przybyszów stawiane są przy wodzie, aby jej nie zabrakło dla wołów i ludzi.

Wszyscy, kto ukończył 8 lat muszą iść do pracy - ja też. Tazio pracuje daleko w stepie. Codzień idzie 6 - 7 km, do pracy pieszo. Czasem nie wraca na noc. Martwimy się. Zapasy z Polski wyczerpały się całkowicie. Za pracę w kolchozie nie płacą nam nadal. Możemy pozwolić sobie raz na dzień na żytnią rzadką zacierkę bez żadnej okraszy. Chorujemy na ospę wietrzną. Mojej siostrze Justynie ruszają się wsuystkie zęby - skorbut. Mdleje. Uprosilinmy predsedatiela o możliwość załatwienia miejsca w szpitalu w Aktiubińsku. Nie ma miejsc. Ale jest polska pielęgniarka - pomaga, leczy, rezerwuje miejsce. Słaniając się na nogach wychodzimy w step łowić susły - straszne upały, są żmije a my boso. Stopy już dawno pokryły się grubą skórą, ale kolce jeszcze wchodzi.

Udaje mi się upolować 7 susłów. Babcia piecze na ognisku. Na 2 -gi dzień nie poznajemy się nie widać oczu, opuchliśmy. Dopiero nam Kazach powiedział "nie trzeba zjadać mięsa z szyi i głowy - to trucizna".

Mama i Ciocia nadal pracują przy kopaniu rowów nawadniających - ale woda w rzece opada. Opadają z sił także 2 nasze kołchoźnice. Zachorował niedożywiony dziadek, leży.

Nie mam i ja siły chodzić w step ani do pracy, ani na polowanie. Przewracam się - gorzej czujemy się niż w Czan - Czar.

W Aleksandrówce - spotykamy Polaków z pod Baranowicz. Zapamiętałem nazwiska: Wojszwickowa, Jurewicz, Szegidewicz, Dr Podhajska, Noczewko z córką i inni. Brak mężczyzn.

Głód dokucza okrutnie. Wybrałem się nad rzekę, nad wieczorem. Złapałem dużego okonia, szczupaka na przynętę ze szczypiec raka. Ujrzał to ruski komsomolec z Aleksandrówki. Uderzył mnie w twarz. Upadłem. Spytał kim jestem. Odpowiedziałem "Polak". Skopał mnie, odebrał ryby (dla siebie) mówiąc "nie kradnij kołchozowego mienia z rzeki". Odchodząc krzyknął, zapamiętaj mówi do Ciebie komsomolec Pietia".

Dowlokłem się do domu, a Babcia prosiła, abym nie mówił o tym Mamie i tak ciężko pracuje, po co ma się przejmować. Udało się ukryć moje sińce, i wybroczyły. Przez parę nocy nie mogłem oddychać. Powiadomili nas "przyznali wam jasła" oznacza przedszkole. Mamie udało się parę dni być tam kucharką (dobrze gotowała). Potem kazali wracać do domu "Jasła dla dzieci NKWD i partyjnych."

Mały Zbyszek chudnie, jego rówieśnica Helenka ma krwawą biegunkę. Nie ma żadnej pomocy i leków. Nie wolno nam się ruszyć z miejsca bez zezwolenia NKWD, nawet nie ma szans by odwiedzić chorującą Justynę w Aktiubińsku.

Tu też "zbieranina ludzka"! Trochę kazachów, nieco Ukraińców, Polaków, sporo Rosjan.

Dzień w dzień pracuje Mama z Ciocią w ogrodzie. Jest źle. Mdleje Mama z niedożywienia i przemęczenia. Dziadek idzie do pracy na stróża przy stertach siana. Pilnuje aby go nie kradli. To też towar wymienny. Do 20.VII.1940 r. nie dostajemy żadnej zapłaty. Szczęście, że dziadek dostał 800 gram chleba, trochę mąki, ogórków. Znów nieszczęście - Tadzio zasłabł w stepie. Brygadier nie wierzył śmiał się z niego mówiąc "symulant". Przekonało go omdlenie. Odesłał "do domu".

Przyszła z Polski paczka - wielka radość i święto: owsianka, cukier, czarne suszone jagody, trochę słoniny, parę cukierków, sucha kiełbasa. Połowę zawartości zrabowano na poczcie. Na tydzień życia.

Postanowiliśmy sprzedać wiele ubrań osobistych - przeważnie sukienki, płaszcz, chustę. Upraszając^o wyjazd po chleb do Aktiubińska dla kołchozu - Mama z Ciocią pojechały tam wołami. Podróżując od świtu do nocy bez przerwy w jedną stronę. Na ^{drodę} szosie nocowały. Rano odwiedziły i zabrały Justynę - która po 2-ch tygodniach wróciła do zdrowia. Sprzedając rzeczy - mogły za nie kupić 22 kg chleba. Przywiozły też chleb dla kołchozu. Kupiony chleb zamieniliśmy w suchary.

W Aktiubińsku "oberwańcy polscy" Mama i Ciocia miały pierwszeństwo w załatwianiach, tak litowali się miejscowi ludzie znając trudną sytuację Polaków. Tam też nawiązały kontakt z innymi Polakami i uważnie słuchały ich rad, korzystając z nich w przyszłości.

Po powrocie - znów w step pod groźbą powiadomienia NKWD wszyscy do zbiórki zboża.

Smierć mojej siostry Helenki i siostrzeńca Zbyszka.

Chorowały biedactwa pozbawione przez cały dzień swych mam, harujących od świtu do nocy.

Od 2-ech tygodni Zbysio nękany krwawą biegunką bardzo wychudł. Jego rączyny - stały się cieniutkie jak patyczki. Przytulaliśmy je do naszych twarzy, chuchaliśmy, rozgrzewaliśmy tą małą chudzińkę. Tylko na chwilę pomogły mu napary z czarnych jagód. Potrzebny tu lekarz. Ale zbywano nas obietnicami "przyjedzie".

Zbyszek, jeszcze parę dni temu próbował do nas uśmiechać się, ale grymas na wychudłej twarzy jego mówił że cierpi podwójnie - z powodu choroby, i braku swej Mamy. My nie mogliśmy Mamy mu zapewnić ani zastąpić. Nosiliśmy go na rękach. Spiewaliśmy piosenki, tak jak umieliśmy najlepiej. Karmiliśmy łyżeczkami rozrzedzonego mleka.

Teraz z przerażeniem i strachem patrzyliśmy jak Zbyszek słabnie. Już nie mógł unieść główki do góry i patrzeć jak poprzednio w naszą stronę.

16 sierpnia 1940 r. po raz ostatni wynieśliśmy Zbyszka na słońce przed naszą lepiankę.

Ostatni raz cieniutkimi paluszkami trzymał się naszych rąk - instyktownie i milcząco prosząc byśmy go nie opuszczali.

Opodal ułożyliśmy na trawie i naszą Helenkę. To było ~~ostatnie~~ ostatnie nasze dziecięce spotkanie ze Zbyszkiem.

W nocy 16 sierpnia 1940 r, wynędzniałe ciało Zbyszka zastygło i znieruchomiało pokonane przez śmierć.

Długo klęczeliśmy przed tym małym męczennikiem. Zbolała matka, powracając nocą z pracy w stepie nie mogła uwierzyć w śmierć swego 10 miesięcznego synka.

Zgasła jej najmilsza nadzieja - ofiara aresztu NKWD i totalitaryzmu komunistycznego. Długo płakała przy świetle naszej słynnej "kopciłki". Nie umieliśmy niczym pocieszyć.

Nasz kochany dziadunio - sklecił małą trumienkę. 18 sierpnia 1940 r wyruszył na jedno ze stepowych wzgórz nasz chrześcijański pogrzebowy kondukt.

Trumienkę nieśliśmy wspólnie, na zmianę, każdy chciał go pożegnać. Idąc śpiewaliśmy pobożne pieśni, a głos nam grzął w gardłach i załamywał się.

Dołączyli się do nas Polacy i mieszkańcy okolicznych lepianek, tu śmierć nas łączyła, bez względu na przekonania i emocje.

Mały zwykły krzyżyk z patyków drewnianych postawiliśmy na jego grobie. Tylko świst stepowego wiatru przypominał nam, że tak daleko jesteśmy od naszej Ojczyzny.

Dziś może to miejsce, jest całkiem, zapomniane i zagubione ?

Wystąpiliśmy o przyznanie pa^zportów, na przejazdy do innych republik. Nawet do szpitala, nie wolno nam było się ruszyć na podstawie tymczasowych zaświadczeń.

Paszporty miały charakter tymczasowy.

Mała Helenka pod koniec września kończyła 10 miesięcy. Już próbowała chodzić.

Nasz kochany dziadunio zbudował coś w rodzaju wózka dla niej, na którym woziliśmy Ją przed lepianką.

Niezwykle figlarna i wesoła jak na swój wiek, chętnie bawiła się z nami.

Od dłuższego czasu widzieliśmy wszyscy jak chudnie. Straciła humor, nie jadła, trudno Jej było wstać.

Mama moja patrzyła z rozpaczą na uciekające życie. 22 września 1940 r. nasza Helenka ostatni raz głęboko westchnęła. Na Jej malutkich usteczkach - zawisł dziwny uśmiech bólu. Zmarła. Przed śmiercią też nie mogła zobaczyć pracującej w stepie swojej Matki. Szliśmy znów na znany nam wzgórek stepowy, przybici następną śmiercią, Została pochowana obok Zbyszka. Babcia wydobyła z węzełka zabraną z Polski garstkę ziemi i w małej buteleczce święconą wodę. Zagruchotały małe grudki ziemi o trumienkę Helenki, a krople święconej wody wraz z naszymi łzami skropiły Ją obficie.

Żegnaliśmy Ją polskim krzyżem poświęconym w Kościele Ostrobramskim. Kilkoma pieśniami pożegnaliśmy naszą kochaną malutką siostryczkę. Znów słońce wisiało nisko nad horyzontem stepu. Cienie zgiętych i klęczących ludzi wydłużały się powoli, aż znikły zlewając się w zmierzchu wieczoru.

Wracaliśmy do swojej lepianki dziwnie pustej, cichej, bez dźwięcznych głosów naszych najmniejszych pociech.

Jutro znów o świcie naszych kołchoźników czeka stepowa harówka. Tu śmierć czyjaś nie ma znaczenia.

Zła passa trwa

W krótkich odstępach czasu uczestniczymy w kilku następnych pogrzebach małych dzieci - przybyłych z Polski. Na znanym wzgórku rośnie ilość krzyżyków.

Teraz panuje w stepie wszędobylski świszczący wiatr, hulający po ostrych i żółkłych kępach traw.

Pewnego razu odwiedził naszą lepiankę stary miejscowy kazach. Możliwe, że chciał coś kupić. Po wejściu ukłonił się, składając ręce na piersi. To stary taktowny zwyczaj. Rozglądał się uważnie,

wreszcie odezwał się "to miejsce nie nadaje się na mieszkanie - lepsze jest pod światłem gwiazd". " Ten grzyb na puławie będzie Was zabierał po kolei do świata, gdzie nie ma początku ani końca ". Słowa, tak szczerze i wymowne, stały się dla nas ostrzeżeniem. Pisanaliśmy do NKWD, błagaliśmy przewodniczącego kołchozu o zmianę locum, bez skutku.

Dzięki szczęśliwemu dla nas zbiegowi okoliczności - uzyskujemy szansę na inną lepiankę. Jednym z kazachów nie zapłacił podatku. Decyzją NKWD - wyrzucono Go z Jego pomieszczenia. Lepiankę Jego przydzielono nam.

Nie wiemy, co się stało z nieszczęśnikiem. Nowe miejsce zamieszkania przynajmniej suche.

Podliczono w kołchozie " trudo-olnii" aż do września. Tylko 150 kg ziarna, należy się o połowę mniej niż zarobiliśmy. Tadzio prowadzący codzienny zapis - przepracowanych dni dokładnie, podsumował. Oszukano.

Światło nadziei

Zbliżała się powoli zima. Pierwsze symptomy, żółknąca trawa stepu, coraz mniejsze roje komarów, odlatujące na południe w kłuczach i stadach ptaki. Nie mieliśmy zapasów żywności. Każdy list jaki trafiał tu do kogokolwiek z Polaków - czytaliśmy wieczorem wśród całej grupy naszych ziomków, traktując go jako pocieszenie dla wszystkich z Ojczyzny. Dużą nadzieję przeżycia zimy stanowiły paczki z Polski. To brat mojej mamy Stanisław Bubień, wystając całymi godzinami w kolejkach z resztą pozostałej rodziny w Baranowiczach, za pieniądze w trudzie^{tu} zarobione przesyłał nam paczki w

w odpowiedzi na nasze rozpaczliwe prośby. Kochany nasz Wujek.

Kazachowie szybko pojęli jaka może być zawartość paczek. Korzystając z przyjętej tu zwyczajowo gościnności oblegali pocztę. Pietropawłowka i uczestniczyli przy sprawdzaniu zawartości przesyłki na miejscu. Szybko dzielili się zawartością. W ten sposób donosiliśmy do naszej lepianki (7 km pieszo) 3/4 lub 1/2 jej zawartości. Tu należało chociaż po odrobinie coś kolwiek dać naszym rodakom, w rezultacie do wymiany na żywność nie wiele nam zostało.

W końcu przyjęliśmy zasadę - nie sprawdzać zawartości na poczcie. Tak ryzykując nieśliśmy całość do naszej lepianki. Obsługa poczty zorientowała się, że może na naszym ryzyku korzystać. Zaczęto się z nami "dzielić" nieoficjalnie zawartością przesyłek. Ale ^{paczki} ~~one~~ stały się naszą wątlą nadzieją na przeżycie.

W październiku watahy wilków liczące od 40 - 60 sztuk, napały na pasące się bydło, owiec i pastuchów. Mięso rozszarpanych owiec rozkazem NKWD miało zostać natychmiast przekazywane do Aktciebińska.

6 sztuk owiec dobito w stepie. Mężczyźni szybko zdjęli skóry, roznosząc wiadomość taką : " zjadły je wilki " .

Od czego szerokie spodnie kazachów. Poćwiertowane kawały przywędrowały do Aleksandrowki, pochowane w zmyślonych zakamarkach.

Przezorny Tadzio - wszedł do dawnej opuszczonej naszej lepianki, chcąc sprawdzić, czy czasem czegoś nie pozostawiliśmy. Po długim czasie wrócił klucząc poza lepiankami. Do naszej lepianki wchodził z uśmiechem.

Byliśmy bardzo przestraszeni - widząc koszulę we krwi. Nic dziwnego za pazuchą przytrzymał On około 7 kg baraniny, nazywając ją "światłem nadziei " .

Dziadek stał na warcie w sieni, aby nikt obcy nas nie mógł odwiedzić, bo miły zapach ogarnął całą naszą lepiankę.

Potem jedliśmy to "światło nadziei" niemal cały tydzień po małym kawałeczku. Opowiadaliśmy bajki wyłącznie o dobrych wilkach.

Wodę nadal nosiliśmy z rzeki. Płytką studnia wykonaną przy naszym "obejściu" dawała nam cuchnącą wodę.

Przygotowanie do zimy.

My dzieci ciężko pracowaliśmy. Dorośli wracali nadal po zmierzchu z pracy w kołchozie.

Zbieraaliśmy "kiziak" na opał. Najlepiej do tego nadawał się świeży - można było go zmoczyć.

Całe dni poprzednie naszych starań położyły na marne. Nosząc świeże łajno bydlęce ze stepu, zdołaliśmy wyprodukować kilkadziesiąt uformowanych prostokątnych "cegiełek". Schły w upalne dni szybko. Ułożyliśmy w stertki. W nocy ktoś nam je układał.

Pracę rozpoczęliśmy od nowa, tym razem stawialiśmy swoje znaki na tych plackach.

W Aleksandrowce - najniższe przeliczenia pieniężne za pracę otrzymywali Polacy. Traktowano nas nadal jak więźniów.

Ludzie rosyjskiego pochodzenia, należący do komsomołu, lub partii pełnili funkcje nadzorcze otrzymując płace 3 razy wyższe niż nasi kołchoźnicy. Kazachowie, również korzystali z wyższych zarobków (2 razy takich jak Polacy).

W Aleksandrowce - zdecydowanie zwalczano polskość i wiarę. Na licznych zebraniach w pracy, wmawiano nam "nigdy stąd nie wydesta-

niecie się, czem prędzej zapomni^{cie}~~cie~~ o Polsce i języku swym, tym dla Was lepiej - przyjmujcie nasze obywatelstwo i przestańcie wierzyć w Boga ".

Jedna z ~~R~~osjanek około 30-letnia nazywana Niurą, aby dokuczyć stawiała na kiznaku krzyże, mówiąc "wasza wiara jest u mnie na g " . Mowa polska podczas pracy w kolchozie stawała się nie/miłe słyszana.

Staraliśmy się codziennie - nawet późną nocą rozmawiać po polsku, aby nie dać się .

Szczególną rolę tu odegrała gruba książeczka do nabożeństwa zabrana z Polski. Wertowanie na wszystkie strony podczas nadlitw, utrwalała polskość.

Korzystając z coraz silniej wiejących wiatrów - łapałyśmy pędzące przez step suche ~~burany~~^{burany}. Te wielkie, średnie i małe kolące kręcyska kuliste, dobrze paliły się.

W przedśionku lepianki - wymiatałyśmy je układając w warstwy aż pod pułap.

Nie zawsze miałyśmy szczęście, szybko toczący się krzak burzanu złapać.

Buty nasze polskie zdarłyśmy. Wprawdzie nasz działek Bubień Józef, skonstruował szydło i coś w rodzaju igły, próbując zmniejszyć przewiewy w naszych porwanych butach, ale to na długo nie starczyło.

Płetliśmy więc słomiane chodaki, owijając nogi resztką szmat. Biegał^{liśmy} po stepie jak małe dziwolągi w przedziwnych tworach podobnych trochę do łapci.

Szybko jednak rozlatywały się. Cóż nam zostawało - boso przez step, z pokaleczonymi stopami.

Za kilka paczek nadesłanej herbaty, pudełko cukru i machorkę wypożyczył nam kazach żarna, 2 ciężkie kamienie na okres roku.

Praca na nich należała do zmęczonego po pracy Tadzia i do mnie. Teraz w okresie żniw, nasi zmęczeni kołchoźnicy przynosili w kieszeniach, to parę kłosek pszenicy, to kilka garstek zboża.

Ponadto mieliśmy sławetne 150 kg ziarna, "zarobione" przez 3-osoby, przez ten cały okres.

W każdej wolnej chwili z Tadziem mieliśmy ziarno na mąkę, czyniąc zapasy na zimę.

Nie przyznawałem się do utraty sił, zaciskałem zęby, wiedząc, że muszę to robić. Przez 4-6 godzin mielenia - wychodziło 2-3 kg mąki. Mieliśmy dużo odcisków i pęcherzy na rękach.

O zmierzchu pewnego razu przyszedł do nas nieznany kazach proponując sprzedaż worka kaszy jaglanej, w zamian za swetr.

Babcia zdecydowała się oddać swój. Nabywcy widocznie nie stanowiło to różnicy jaki ~~swetr~~^{sweter} otrzyma. Zadowolenie nasze nie trwało długo. Okazało się, że padliśmy ofiarą oszusta - Na wierzchu w worku nasypał on kaszy jaglanej. Dalej sama łuska z prosa.

Część zmielona w żarnach, stanowiła dodatek do placków z odrobiną mąki.

Żołądki nasze jednak nie trawiły tego. Przechodziliśmy męczarnie, krwawienia i niesamowite bóle przy czynnościach fizjologicznych.

Wyselekcjonowane na wietrze, parę garści kaszy jaglanej zostawiliśmy na Święta.

Praca przy żarnach trwa przez wiele tygodni do późnych godzin nocnych.

Kopanie rowów nawadniających w ogrodzie zostało zakończone. W tym czasie kilkakrotnie jedliśmy kradzioną świeżą pietruszkę, marchewkę, chowaną w najwymyślniejszych zakamarkach ubrań naszych kołchozników.

Następna praca znów przy zbożu w stepie. Tym razem pochodzącego z terrocznych zbiorów.

Pewnego dnia wlokąc " nogę za nogą ", wracała moja Mama późno z pracy w stepie. Dziwny uśmiech na twarzy nas zaskoczył.

Przyczyna wkrótce wyjaśniła się. W obszernych gumiakach o 2 numery za dużych - miała kołchozową pszeniczkę dla rodziny. Przejść 6-7 km po stepie z uwierającą pszenicą, to prawdziwa sztuka. Teraz sycząc z bólu musiała wysoko trzymać nogi do góry, aby zboża pozbyć się. Spęczniała nie bardzo dawało się wysypać.

Na drugi dzień potajemnie wyniesione na słońce przed lepianką - podeschło i nadawało się do żarna.

Nowa niespodzianka. Za pracę 4-ch osób zamiast żywności - dostajemy furę siana - to wyrównanie należne za wrzesień. Tłumaczyny - nie posiadamy żadnych zwierząt" Bezskutecznie. Przedstawił powiada " towar za pracę ".

Część zostawiamy do poduszek i sienników, uszytych z rozlatujących się kawałków materiałów. Pozostałą ilość zmuszeni jesteśmy sprzedać kazachom za połowę ceny.

Rozpoczynam edukację.

1-szego października 1940 r. poszedłem do szkoły w Aleksandrówce. Przyjęty zostałem do 1-szej klasy, miałem 7,5 roku. Obiecano tam nawet wyżywienie. Rozlatujące się buty powiązałem sznur-

kami. Od Tadzia otrzymałem ołówkę, kilka kartek druków pochodzących z Polski. Tadzio na nich pisał dzień po dniu ten swój pamiętnik. Październik obfitował w chłody i poranne spadki temperatur.

W porwanych podkoszulkach, krótkich spodenkach, zniszczonej koszuli i jedynym sweterku, ratując się przed zimnem przybiegłem do szkoły.

Przywitali mnie ruscy koledzy słowami. " Jeszcze jeden głupi Polak ". Dużo rozumiałem po rosyjsku, gorzej mówiłem. Nauczycielka 18-letnia komsomołka wpisała mnie do dziennika szkolnego I klasy. Na pierwszej lekcji wychowawczej powiedziała "o swoim języku ojczystym, obcokrajowcy muszą zapomnieć - tu obowiązuje wyłącznie język rosyjski".

"Nie wolno rozmawiać podczas pobytu w szkole innym językiem niż rosyjski ".

Następna godzina - to przedstawienie wielkości i znaczenia ZSRR w świecie, oraz o Ojcu dzieci STALINIE. Parę dalszych lekcji arytmetyka i " do ^{domu} alarmu". O żadnym wyżywieniu nawet nie wspomniano. Ze szkoły wróciłem nawet zadowolony. Nie spodziewałem się jednak co mnie czeka dalej. Na 2-gi dzień - otrzymałem zeszyt w kratkę, za który mają potrącić z "trudo-dni", Mamy przy rozliczeniu. Dowiedziałem się przy tym o nadzorze I klasistów, prowadzonym na zmiany przez komsomolców z 6-ej i 7-ej klasy. Poznałem i kierownika naszej szkoły. Udało się wykonać pamiątkowe zdjęcie.

Niestety - następne dni stawały się coraz gorsze. Marzliśmy podczas lekcji, a na rozgrzewkę dostawałem specjalnym kijem po plecach, rękach, nogach za każde użyte zastępczo polskie słowo.

W szkole nie wypadało mi stawać się beksą przed kolegami, ale w drodze do lepianki płakałem z bólu i ze złości.

W drodze do szkoły modliłem się i tak na zmianę. Uczyłem się mimo wszystko bez dwój. " Zaciałem się " - Nie raz specjalnie używałem polskich słów, aby podkreślić, że swojego języka nigdy się nie wyrzeknę. *Ilusi* " kiji " wzrastały. Tadzio podnosząc mnie za ręce do góry pewnego razu zauważył masę sińców. "A to co"? Zapytał. Przyznałem się, prosząc o dochowanie tajemnicy, i tak sporo mieliśmy różnych kłopotów. Po lekcjach brałem się za żarna.

Nauczycieli nienawidziłem, oni uważali nas wyłącznie za przyszłą siłę roboczą. Na jednej z lekcji usłyszałem " ty po I-szej klasie będziesz dobrym kołchoźnikiem - do Polski i tak nigdy nie wrócisz ". Zapamiętałem słowa przekazując dosłownie Tadziewi. Odpowiedź Jego brzmiała : " nigdy nie zapomnij o Polsce". " Ja wkrótce pójdę walczyć o naszą Ojczyznę, musicie tu wytrwać - na Ciebie spada obowiązek podtrzymywania rodzeństwa na duchu i pomocy starszym. " Wróćcie do Polski ".

Święto Rewolucji

7 listopad 1940 r. Wielkie Święto. Uroczystość w świetlicy przy naszej szkole.

Uczestnictwo obowiązkowe. Kołchoźników i uczni. Naszą rodzinę reprezentowaliśmy we trójkę - Tadzio, Mama moja i ja uczeń. Na ścianie zawieszono czerwoną płachtę, Potret Lenina, Stalina. Miting otworzył przedstawiciel siedzący za stołem i podpierający się tak, aby jego zegarek na ręku stał się widoczny dla wszystkich. Przemówienie, głównie wychwalało ustrój, Stalina i potępiało wrogów klasowych.

Przedstawił także nam w sposób wyraźny zarzut słowami "są tu

też zesłańcy do prac przymusowych z Polski - wrogowie ludu". Po odbyciu kary będą pełnoprawnymi kołchoźnikami".

"Część ludzi pracuje tu honorowo dla dobra ZSRR". O należytej zapłacie za pracę w kołchozie nie wspomniał ani słówka. Przecież nie tylko kołchoz nam nie płacił i nie dawał równoważnej za pracę żywności, ale okradał z trudo-dni, licząc ich mniej niż rzeczywiście zostało przepracowanych.

Anis łowem nie wspomniał o 12 - 14 godzinnym dniu pracy kobiet. Predsiedatiel podkreślił "8 letnich przyjmuję za pół płacy do kołchozu na pastuchów"

Następnie odbyła się część artystyczna, występy dzieci poszczególnych narodowości.

Obdarte i źle odziane stanowiły obraz rozpacz. Moja nauczycielka podpowiadała na głos wierszyki.

Znudzony występami, predsiedatiel oparty na łokciu zaczął głośno chrapać, ale nikt nie śmiał jego drzemki przerwać,

Umęczeni tym dniem, po powrocie do lepianki postanowiliśmy. "Za wszelką cenę musimy stąd uciekać" Nasuwały się nam dręczące myśli Gdzie jest nasz rząd ? Czy o nas Polakach kompletnie zapomniano ? Czy mieliśmy naprawdę drogę odwrotu zamkniętą ? Nas tu maniono tu, o lepszych czasach, zarobkach - tu mieli dobrze jedynie NKWD, partyjni i ich rodziny.

Święta Bożego Narodzenia w Kazachstanie.

W listopadzie 1940 r. pierwszy porządny mróz. 10.XII.1940 r. obfity opad śniegu, topniejący przez następne dni. Z pułapu lepianki opada płatami glina . Sciany wewnętrzne a szczególnie na-

roża zamakają. Panuje ziąb. Szron wewnątrz lepianki. Podczas odwilży ściany pokrywają się białą pleśnią. Oczyszczamy kawałkiem drewna, uszczelniamy bydlęcym łajnem przyniesionym z chlewu od kazacha. Dzień i noc na zmianę podkładamy w naszym piecyku kiziak, śpiąc na zmiany, aby ściągny osuszyć. "Paliwa" ubywa szybko. Ustawiliśmy w kącie lepianki duży krzak burzanu - to nasza choinka, prawdziwa ze stepów kazachstańskich.

Zachorował przeziębiony i niedożywiony dziadek, ogłuchł. Trzeci tydzień nie ma poprawy. Cóż można zrobić bez leków? Nie oszczędzono nam wieczoru wigilijnego.

Jak zwykle wrócili nasi kołchoźnicy bardzo późno - ze łzami w oczach "Brygadier nie chciał wypuścić z pracy mimo, że zmierzch dawno zapadł.

Wracali nasi ze strachem słysząc wokół wyjące wilki. Brygadier skwitował obawy słowami "Niczewo przywyknietie" - nic nie szkodzi przyzwyczaić się".

Wigilia zesłańców.

Nie ma na czym posłać obrusa przywiezionego z Polski.

Jedyny egzemplarz jaki pozostał.

Rozesłaliśmy przygotowane kępy traw na rozbitych resztkach skrzyń wyłowionych z rzeki. Na niej położony obrus. Z czcią wyjęty z listu przysłanego przez Wujka Stacha opłatek. Obok grudka polskiej ziemi, oświetlona naszą kopciłką. Tu podobnie nasze życie tli się jak ta lampka. Uklękliśmy wokół. Resztkami sił uniósł się na rękach mój kochany dziadek. Odmawialiśmy litanię, potem pod Twoją obronę i pacierz wigilijny.

Głos nasz wspólny to wznosił się to opadał, dając nam niepojętą siłę. Wstajemy dzielimy się opłatkiem życząc wspólnie wytrzymania, zdrowia i powrotu do naszej kochanej Ojczyzny. Nasze główne potrawy to zacierka bez mleka i placek pszenny.

Nagle puka ktoś i woła. Czyżby NKWD ? Nie to nieznany kierowca proponuje za opłatą wyjazd do Aktiubińska. Tam powiada "kupicie chleba i śledzi, wróćcie zadowoleni". Straszna pokusa "śledzie, chleb". - Odmawiamy w Wigilię chociaż nieco głodni tworzymy jedność - będziemy razem.

Oddając wiele przedmiotów nam potrzebnych (parę łyżek, scyzoryk, widelec) otrzymaliśmy od predsedatiela dni wolne w Boże Narodzenie. Spiewamy kolędy, odwiedzamy Polaków. Pocieszamy się. Jesteśmy prawie szczęśliwi.

Snieżny huragan.

31.XII.1940 r. na pożegnanie starego roku rozszał się stepowy huragan. Zwierzęta i ptaki wyczuwały go dzień naprzód. Ucichły, pochowały się. Cała nasza lepianka trzęsła się i trzeszczała. Wydawało się - że za chwilę porwie nam wszystko ten wiatr. Przerazliwe wycie, gwizdy, nie ustawały. Grozę potęgowała noc. Nie zmrużyliśmy oka modląc się. Raz po raz gasła nasza kopciłka. Podmuchy przez komin, rozsypywały iskry po chacie. Obawialiśmy się pożaru.

Wymęczeni czekaliśmy dnia, ale on nie nadchodził. Trudno nam określić czas - nie posiadaliśmy zegarków. Dopiero próbując wyjść na dwór z przestraczem Tadzio zawołał "jesteśmy zasypani całkowicie. W żaden sposób nie mogliśmy otworzyć drzwi. Wybierając śnieg po kawałeczku godzinami - wreszcie wydostaliśmy się w utworzony

tunel. Udeptując go wokoło, wyszliśmy na dwór. Z góry zasypywał nas opadający śnieg.

Wreszcie ubijając śnieg w kształcie schodów przed sobą wyszliśmy ponad jego powierzchnię.

Ze zdziwieniem stwierdziliśmy, że nie widać żadnej z lepianek. Wszystkie zostały zasypane ponad kominy. Przedstawiała się nam biała lśniąca śniegiem równina z nawianymi wydmami do wysokości 3 - 4 mb. Przeciętna grubość nawianej warstwy śniegu wynosiła 2,5 - 3 mb.

Wszyscy mieszkańcy Aleksandrówki pracowali bez przerwy łącząc się korytarzami.

Gruba otulina lepianki ze śniegu gwarantowała wewnątrz ciepło.

Puch świeży nie stanowił zagrożenia dla ludzi. Żadne zwierzę nie poruszało się po powierzchni.

Dni odśnieżania ręcznego stały się jednocześnie dla mieszkańców kołchozu odpoczynkiem.

Uroczystości noworoczne.

W tej scenerii znaleźliśmy się w 1941 r. Składaliśmy sobie życzenia. Spokój nie trwał długo. Korytarzami śnieżnymi przybiegł brygadier krzycząc " czto oddychajetie lentiaje" "co odpoczywacie lenie". Pójdziecie dziś na zebranie noworoczne w świetlicy przy choince". Uroczystości prowadzili predsiadatiel i komsomołka - nauczycielka.

Wyplatano te same brednie. Dzieci śpiewały "jesteśmy syte i ubrane" - chociaż miały duże dziury w pończoszkach. Przy jakimś zgrzytającym patefonie kazano tańczyć starszym zachęcając słowami

"nu duraki gulajtie" - co oznaczało "no durnie bawcie się". Następnie znów mówiono o niezwyciężonej Czerwonej Armii i sile gospodarczej ZSRR - nic nie wspominając o robotnikach, tworzących cały dobrobyt mocarstwa ZSRR. Po paru godzinach, prezydent wyszedł za kotarę gdzie do gardła swego wlał pół butelki wódki, następnie wychylając się krzyknął "nu basaki won" - oznaczało to "obartusy won". Tak zakończyła się uroczystość Nowego Roku. ^dobartusy
obedartusy

Nikt z nas nie mógł zrozumieć takiej kultury.

Polowanie.

Predsedatiele kolchozu nie mogąc wykonać dróg dojścia do pracy zarządził 2 dni polowań.

Uprzywilejowani wyciągnęli z zakamarków stare strzelby. Biedniejsi zaopatrywali się w noże, a jak nazywano prostych kołchoźników "hołota" - w kije. Myśliwi ponakładali na buty z wojłoków coś w rodzaju krótkich plecionek z wikliny, słomy utrzymujących ich ciężar na puszystym śniegu. Zapadając się po kostki, ruchami posuwistymi posuwali się naprzód. Nie każdy mógł dostąpić tego zaszczytu, tylko wybrańcy wskazani przez predsedatiela.

Starzy kirgizi - to urodzeni myśliwi, niezwykle emocjonalnie przeżywali moment polowań.

Główną zwierzynę stanowiły wilki, lisy, zające, ^{kurapaty}czasem ptaki ^{inne} Zwierzęta głodne podchodziły do osad ludzkich. Słyszeliśmy wyjące wilki.

Myśliwi doganiali zapadające się w śniegu zwierzęta i uśmiercali. W ciągu 2-ech dni polowanie zakończono uznając za udane. Padło kilkanaście wilków, lisów i parę zające.

Skóry w większości zabierał prezydent, podkreślając "to dobro kołchozu". Myśliwym pozostały emocje i wspomnienia.

Wkrótce napłynęła fala arktycznego powietrza - ścinając śnieg na całej niemal głębokości.

Ostrzegano nas byśmy nie wychodzili na zewnątrz z otwartymi twarzami, gołymi rękami itd.

Przy -48°C do -50°C temperaturze panował bezruch powietrza. Nosy, uszy nieosłonięte, w ciągu paru minut stawały się białe i kruche, dosłownie łamiąc się przy potarciu. Kilka trwałych odmrożeń twarzy zanotowano w Aleksandrówce, wśród Polaków i Białorusinów.

Najczęściej przymarzała skóra dłoni do metalowych przedmiotów, chwytych przypadkowo. Mieliśmy doskonałą drogę ponownie do pracy. Po twardej nawierzchni śniegu nawet czołg mógł jeździć. Role jednak się zmieniły. Teraz wilki zaczęły polować na nas a nie odwrotnie. Atakowały każde żywe zwierzę. Przegryzały ściany nędznych lepianek dostając się do wnętrza. Stada liczyły po 40 - 60 szt.

Kilka takich watach chodziło koło naszej Aleksandrówki.

Tu w kołchozie stada krów nie miały schronienia przed zimnem. Pasły się dzień i noc w stepie, bez względu na porę roku. Zwierzęta okryte grubszą skórą i sierścią wytrzymywały najcięższe zimy. Przy bardzo niskich spadkach temperatur, zagrzebywały się w śnieg.

Z pod śniegu też dobywały dla siebie pożywienie, krowy te dawały niewiele mleka od 2 - 3 litrów dziennie.

Posiadały dobrze zachowany instynkt obronny. W momencie ataku watahy wilków, silniejsze sztuki wraz z buhajkami ustawiały się

wieńcem na zewnątrz z rogami skierowanymi ku atakującym wilkom. Słabe osobniki i młode chroniły się wewnątrz stada. Wilki nie odważały się atakować całego tak ustawionego stada.

Nasi kochani idąc o brzasku do pracy, niesamowicie marzli, więc przebywali odcinki biegiem.

W ochronie przed wilkami nieśli pokrywki blaszane, lub dziurawe garnki metalowe uderzając w nie kijami. Ten niesamowity koncert odstraszał napastników a myśmy wiedzieli kto idzie.

Kazachowie cmokali z podziwem, a brygadier z aprobatą mówił "wot Polaczki umnyje" - "Ci Polacy Pomysłowi".

Spotkanie z wilkiem.

Dziadek mój nadal chorował. Wyjednaliśmy dla chorego po dwa litry chudego mleka dziennie.

Ta ilość ratowała całą rodzinę.

Z braku dostatecznej ilości opału, piliśmy tylko podgrzane mleko. Dziadek odzyskał siły, wstawał. Pewnego dnia dostałyśmy biegunki.

Na dworze panował siarczysty mróz. Mijał 10-ty styczeń 1941 r. Każdy krok ludzki stał się słyszalny na śniegu, pięknie skrzącym się nocą.

Po skromnym posiłku wieczornym kuląc się z zimna ułożyliśmy się do snu. Poczułem bóle żołądka, wiedziałem, że to nieunikniona konieczność wyjścia na zewnątrz. Moje rodzeństwo już spało. Tylko Ciocia Lucia, z moją Mamą naradzały się co zrobić by następny dzień rodzina miała co zjeść. Biorę dziadka za rękę proszę by ze mną wyszedł. Niedośłyszał już biedny, ale poszedł biorąc z sobą nieodłączny kij.

Zauważyłem jasny księżyc, a dalej na wypukłym nieboskłonie nieba, skrzzące się tysiące gwiazd. Widok przecudny i niezapomniany. Przed lepianką na wbitych kijach i rozciągniętym sznurku wisiało zmarzłych na przysłowiową "kość" parę ścierek. Minęliśmy je udając się pod nawis dużej zasy śnieżnej.

Dziadek też spojrział w niebo i powiada "widzisz Stasiu mrugające gwiazdy to zapowiedź zmiany pogody na inną - Tam bardzo wysoko wskazał - te zmiany już są". Pogodę przepowiedział świetnie - bez pomyłek. Odwróciliśmy się od siebie zajmując najdogodniejsze pozycje siedzące. Marzęm okropnie nawet przez te kilka chwil.

Straciłem z oczu dziadka. Zaniepokojony skierowałem się w stronę lepianki, obszedłem szybko ją wokół. Wydało mi się, że coś usłyszałem. Pędzę ku drzwiom. I tej chwili do dziś nie mogę zapomnieć. Przede mną stał duży eilk. Do drzwi miałem około 10 m, do wilka 5 - 6 m.

Poczułem na głowie każdy włos wstający z osobna. Nogi moje przestały istnieć, głos całkowicie zamarł, nie mogłem go wydobyć. Skamieniałem czekając na śmierć. Tylko mózg intensywnie pracował. W tej bezradności stojąc tyłem do drzwi, a przodem do wilka modliłem się w duchu. Jak na taśmie filmu, przypomniałem sobie wszystkie rady jakie otrzymałem od kazachów, a szczególnie Babaja.

Mówił on "pacan kagda wstretisz wołka nie udieraj, idi oczeń pomaleńku" co oznacza "młokosie jeżeli spotkasz wilka gwałtownie nie uciekaj - cofaj się powoli". Tak uczyniłem. Cofałem się ku drzwiom tyłem bardzo wolno. Słepia wilka błyszcząły jasno zielonym fosforyzującym kolorem, kłapał zębami od czasu do czasu. Wolno także poruszał się w moją stronę zachowując tą samą odległość. Nie pamiętam ile to trwało. Dotknąłem drzwi plecami i krzyknąłem wre-

szcie "wilk".

Drzwi jednak wracający dziadek ^{może ?} zamknął - sądząc że jestem w lepiance. Teraz mój prześladowca mógł śmiało wykonać skok. Żegnałem się z życiem. Zrobiło mi się niezwykle gorąco.

Wkrótce jednak usłyszałem odgłosy ratunku. Ktoś mnie wciągnął do lepianki, kilka postaci (Tadzio, Mama, Ciocia) wybiegło z widłami. Wszedł dziadek dopiero teraz mnie szukać. To Tadzio zamknął po wyjściu dziadka drzwi przez pomyłkę nie zauważając w ciemności mojej nieobecności.

Ile dziękczynienia Bogu, łez radości. Długie wcieranie moich nóg, rąk, twarzy.

Rano na podstawie śladów pozostawionych przez bardzo dużego wilka, sprawa wyjaśniła się.

Dziadek szukał mnie wokół lepianki, a ja dziadka... a wilk za nami z tyłu maszerował.

Nie zaatakował nas... bo pożarł przed tem wszystkie Babci ścierki więc głód mu nie dokuczał.

Konspiracja w korespondencji.

Ponad miesiąc nie ma wiadomości z Polski. W końcu stycznia 1941 r. Tadziovi podczas pracy w kołchozie na lewą rękę spada kłoda drzewa - choruje.

Nie mamy żywności. Ostatnich naszych ubrań, wyciągniętych do sprzedaży nikt nie chce kupić.

Silne mrozy. Wiaderko ziemniaków kosztuje 30 - 40 rubli - wartość ponad miesiąc ciężkiej pracy dla nas. Wreszcie nadchodzi list od Wujka Stacha Bubień. Pisze "jeżeli będzie zimno podgrzejcie list żeby nie rozerwać przy otwieraniu"

Cóż to za zagadka ? Podgrzewamy. Między wierdzami ukazują się nowe zdania w kolorze brązowym. Czytamy całkiem odmienne wiadomości niż oficjalne. Opis represji NKWD, o deportacji dalszych aresztowanych Polaków, o pracy wujka na kolei w Baranowiczach w sowieckim biurze. Wiadomość o wujku Janku Gilejko aresztowanym w Stołpcach skazanym przez NKWD na 8 lat więzienia - Aresztowany w Stołpcach 25.09.1939, wywieziony na Kołymę dopiero 10.02.1940 r, a więc przed nami. Wiadomość o moim ojcu Aleksandrze Tumilowiczu, przebywającego 30.04.1940 r. w Warszawie przy ulicy Krochmalnej 73/23, a więc żyje, w konspiracji pod okupacją niemiecką. Radość nasza ogromna.

Gdyby jednak NKWD wykryło taki list zagłada dla całej rodziny jest nieunikniona. Postanawiamy nie pokazywać tego listu polskim rodzinom, zbyt niebezpieczny dokument.

Do późnej nocy łamiemy sobie głowę - jakim płynem zostało to napisane ? Tadzio wkrótce odkrywa krzyżąc "mlekiem, mlekiem kochani".

Od tej pory odwrotnie piszemy mlekiem - w ten sposób znamy po obu stronach prawdę.

NKWD na myśl nawet nie przyszło, aby głupi Polacy postępowali w ten sposób. Listy te jednak dla własnego bezpieczeństwa palimy. Nie zachowały się.

Dobrze mieć 2 zwykłe z Polski stalówki. Jedna służy do pisania mlekiem, 2-ga do bieżących pamiętników Tadzia.

Katorżnicza praca zimą.

Za zimno by nosić wodę z rzeki. Topimy śnieg produkując z niego wodę, może mniej smaczna.

Luty 1941 r. temperatura spada do -50°C . Rzeka skuta lodem. Nie możemy łowić ryb, wykuty otwór odrazu zamarza.

2 Brygadier Zarządza ^{budowa} śnieżnych wałów przeciw powodziowych. Kołchoz posiada maszyny i urządzenia spychające, ale nieczynne.

Kilkadziesiąt ludzi teraz przenosi góry śniegu. Część analfabetów podpisuje dokumenty krzyżykami, nie wiedząc nawet o zmniejszonych o połowę naliczeniach trudo-dni. Nas też okradano o 1/3 należności. Tu rządzi Nina rachmistrzyni. Jeżeli jej coś nie zgadza się wyliczenia wyrzuca za okno. Tam powstaje kupa śmieci. Twierdzi, że wie kto ile zarobił i kiedy interwencje są zbyteczne.

Nasza sytuacja staje się tragiczna. Magazyny pełne zboża, silnie strzeżone. Przy budowie ciężka praca na mrozie, za którą nie płacą. Nie ma gdzie co kupić, nawet za ruble. Na początku marca 1941 r., dostajemy wreszcie 150 rubli, wysyłamy je do Wujka Stacha prosząc o paczki z żywnością.

Część tych pieniędzy potracają nam na koszty przekazu.

W dniu mroźne - odwołują nam lekcje. Nadal mnie biją w szkole. Dodatkowo szarpią za włosy, uszy, dostają "kuksance".

Za co pytam ? " Za to, że Polak ".

Chodzę jednak, chcę się uczyć. Już umiem liczyć, pisać zdania, daty. Po lekcjach biorę się za żarna, wkrótce musimy je zwrócić.

Zresztą już prawie nie ma ziarna.

N a d z i e j a .

Rozpoczyna się ponownie pracy w kołchozie przy zatruwaniu ziarna przeznaczonego na siew wiosenny. Kobiety pracują bez masek ochronnych, wkrótce występują zatrucia. Bóle głowy wymioty . . . Szczególnie ciężko przechorowuje Ciocia Gilejko.

W rozpaczy piszemy długie pismo do NKWD, kończąc słowami "ratujcie nas umieramy z głodu i zatrucia, mamy małe dzieci, prosimy o przeniesienie nas na fermę krów".

Długo brak odpowiedzi. Wreszcie 13 marca 1941 roku zjawia się NKWD-sta. Początkowo nam wymyśla różnymi wyrazami. Widząc nas ślaniających się na nogach i upadających do parę kroków decyduje "Przejdziecie w rejon Pietropawłowki".

W geście jego rozkazu, znów otrzymujemy furę siana - równoważnik zapłaty za pracę w tym kołchodzie. Oprócz wozu z sianem z zaprzęgiem z wołami, nie otrzymujemy podwody,

Nie możemy zabrać wszystkiego, zostają tu jeszcze garbki, kiziak i część burzanu na opał. Tubylcy ostrzegają nas. "Nagle przyjdzie wiosna i roztopy."

My dzieci cierpimy na glisty i owsiki. Mamy stany podgorączkowe, wielkie osłabienie. Brak jakichkolwiek leków.

Pozostaje jednak nadzieja. Jedziemy do fermy krów "Zara ^WSzoba-
da" - Zorza wolności. *Skobolew*

Po resztę dobytku musimy tu wrócić.

Trzeba/przeprawić się przez lód. Musimy to zrobić sami. Przed-
sieda^lciel powiada " jesteście starymi ^lchołkoznikami, nasza pomoc nie potrzebna".

Niebezpieczna podróż

15 marca 1941 r. dopiero podstawiają nam zaprzęg konny i sanie z wołami, nadające się do podróży.

W tym czasie rozpoczęły się od 2-ch dni roztopy. Lód jednak na rzece trzymał się.

Nagle zrobiło się ciepło. Śnieg ginał, odsłaniały się duże placie czarnej ziemi. Powoziła na zmianę Ciocia, Mama, Tadzio. Pozostali siedzieli na saniach, trzymając rzeczy, aby nie spadły. Sanie ślizgały się po błocie i czarnej powierzchni. Przeprowadziliśmy się przez rzekę Karhała. Konie stanęły zmęczone w wodzie. Fale wzbierały, powstawały wyrwy. Żadnej pomocy ze strony kołchozu.

Wreszcie - przedostaliśmy się na 2-gi brzeg. Jak to w marcu. Po chwili ciepła spotkaliśmy zawieję śnieżną. Wogóle nic nie widać. Gdzie jechać? Nie wiadomo ile potrwa zadymka. Wiatr nam przynosi odgłosy ludzkie, momentami ryk bydła, znów wszystko cichnie.

W tym kierunku jedziemy. Dojeżdżamy do kołchozu. Już zmierzch. Tu szybko zapadają ciemności. Wychodzi do nas predsedatiel pytając "Odkuda wy" - skąd jesteście. "Nam was nie nada" - "Niepotrzebni jesteście" mówi patrząc na wynędzniałe dzieci w świetle zapalanej lampy naftowej. Nie otrzymaliśmy polecenia pisemnego przeniesienia z NKWD. Tymczasem „rozkaz NKWD”. Wsadzono nas do jakiegoś nieogrzanego, zimnego pomieszczenia. Na 2-giej stronie rzeki pozostała nasza lampa kopciłka".

Skazani jesteśmy na zimno, głód i ciemność. Przytuleni do siebie dygocemy.

Nie nadjeżdża drugi zaprzęg z Mamą, Tadzkiem i dziadkiem. Mar-

twimy się. Ciocia szuka do pomocy kogoś w ciemności w kołchozie. nikogo tu nie zną.

Trafia na odważną Polkę, ta deklaruje swoje towarzystwo. W zadymce śnieżnej ruszają z powrotem, Bóg był łaskaw. Nie spotykają po drodze wilków. Rzeka jednak już wzbiera, lód pęka, płynie kra, tworzą się zatory. Wpław dzielne kobiety w ciemności przedostały się na 2-gi brzeg. Biegiem dotarły do dawnej lepianki.

Okazało się, że ciągnący zaprzęg wół, padł. Trzeba zawracać. Szczęścia dużo, że nie stało się to w rzece. Mama z Tadzkiem przeprawiają się z powrotem - do nas - znalazły płytsze miejsce. Dziadek chory pozostaje w lepiance, Całą noc pali kiziąkiem. Do powrotu naszych kochanych modlimy się z Babcią. Zasypiamy zmęczone nad ranem.

Wreszcie prezydent daje nowy zaprzęg - do dziadka mówi "to był dobry stróż" "podjeżdżaj dzieduszka". Tym razem pomaga. Przeprawa udaje się. Znow jesteśmy razem. Nie ma pieca, ubranie sużymy w sąsiedniej lepiance.

W ciągu 2-ch dni staje piec pod kierunkiem dziadka.

Budowa tam.

W Pietropawłowce kończono budowę tam. Domorosły architekt zarządził spiętrzenie wody. Lustro wody szybko wznosiło się ku górze, grożąc przerwaniem 2-ch tam.

Długość jednej z tam wykonanej z ziemi i śniegu wynosiła 2 - 3 km, praca całego poprzedniego lata i zimy.

Mieszania ziemi, śniegu i lodu. Jedna z nich służyła jeszcze do przejazdów. Ostatnie zadanie Mamy, stanowił wyjazd po chleb

przez jedną z tych tam.

Smierć czyhała obok.

Widząc przybierającą wodę Mama nie chciała jechać, ale otrzymała rozkaz od brygadiwra. Już w drodze powrotnej z Pietropawłowki niezwykle ociepliło się. Zaczął padać deszcz. Trzeba szybko wracać. Przejeżdżając koniem po szczycie tamy widziała, że dołem już wypływa rwąca woda. Uprzedziła o tym siedzącego z tyłu zarządzającego. Ten krzyczy "jedź" - przeklinając szpetnie. Z modlitwą na ustach furmanka ruszyła. W niespełna 5 minut po przejeździe cały kilkudziesięcio metrowej wysokości wał, zwałił się na drugą stronę pod naporem wody. My w lepiance usłyszeliśmy straszliwy huk, łoskot i szum. Wybiegliśmy. Przez rzekę Karhała "szła" 5 - 6 metrowej wysokości błotnista fala z ziemi i wody, niszcząc wszystko po drodze.

W kilkanaście sekund powstało rozlewisko 15 - 2 km szerokie. Druga tama również została zniesiona.

Wpatrywaliśmy się z przerażeniem, wiedząc, gdzie pojechała Mama. Teraz stała na wzgórzu z końmi, z chlebem na wozie, czekała aż boczny strumień wody nieco opadnie. Wiozła chleb, chleb życia dla kołchozu. "Zawiedujuszczycj" blady jak kreda powtarzał "maliś" - "módl się". Tylko Twoja modlitwa i Bóg nas uratował. W każdej chwili groziła nam śmierć. Na kilka tygodni zostaliśmy odcięci od świata. Z dala widzieliśmy, jak ludzie wychodzą na pagórki i dachy lepianek. Wody ciągle przybywało. Rzeka huczała, niosła ze sobą barany, krowy, części zagród, kawałki desek, jakieś naczynia.

Z każdą godziną zbliżała się do naszej lepianki. Spowodowały

to zatory lodowe.

Staliśmy na tej wyspie życia i śmierci. Tylko od kaprysu natury nasz los zależał. Oczekiwaliśmy najgorszego. Ponad nami stada sępów i orłów zataczały wielkie koła - to znak, że śmierć przechodzi obok. Przewidywaliśmy najgorsze. Uciec nie było gdzie. Dobrze, że noc chłodna, trochę mrozu.

Woda od nas nieco oddala się, wraca nadzieja. Ponownie ciepły dzień, rzeka znów huczy.

Po pięciu dniach opada nieco. W stepie sterczą białe szkielety zwierząt objedzonych przez orły i sępy. Wiele naniósł gałęzi, kawałków drewna (którego tu nie spotykaliśmy).

Wszyscy rzucili się do zbierania tych materiałów, brnąc po pas w błocie.

W bajorach, bagienkach, dużych kałużach pluskały ryby wyrzucane z rzeki siłą fali.

Nareszcie ich nazbieraliśmy, napiękli i najedli do syta. Przez długie tygodnie dokuczał nieznośny fetor całej osadzie. Przebudziły się susły - nasza podpora życia.

Krytyczne momenty.

10 kwietnia 1941 r. skończył się opał. Powracają jeszcze mrozy. Chodzimy nad rzekę, nieco spokojniejszą, ale jeszcze o rwących wodach. Wycinamy wiklinę i łożę. Trzymając się kurczowo kęp sięgam z Tadziem po coraz to nowe witki. Będzie czem palić, przecież bydło nie wyszło jeszcze na pobliskie tereny, przebywa daleko w stepie. Tam masowo pada z głodu, zjada nawet własny nawóz.

Padają, krowy, byki, cielęta. Nikomu nie wolno korzystać z tego mięsa, pod karą ciężkiego więzienia czy robót. Wpadam do wody. Złamuje się lód, z trudem wychodzę na brzeg.

Opodal wielkie pieczary, tam wrzuca się padlinę. Zlatuje się tam setki orłów i sępów, srok, podchodzą lisy, wilki. Pieczara zapelnia się, my głodujemy. Modlimy się. Zarządzający śmieje się "Boga nie ma krzyczy" w tym naszym nowym kołchozie, Zara - Szoboda.

Praca naszych dojarek.

Przydzielono każdej po 14 krów do ręcznego 3 -krotnego wydojenia dziennie. Nakazano wychować od każdej krowy po jednym cielęciu, kto tego dokona otrzymuje w nagrodę cielę.

Praktycznie to niemożliwe, nie starcza mleka dla krowich osesków. Mama z Ciocią zawarły porozumienie. Ciocia wychowa 14 - cie cieląt przy pomocy dodatkowego mleka, przekazywanego przez Mamę. Mleka tego wystarczy także i dla naszej rodziny.

Wychowanie wspólne 2 x 14 cieląt to absurd. W ten sposób sytuacja nasza poprawiła się. Bardzo ciężka pracy w fermie od świtu do nocy. Ale nasze dojarki mogły do woli napić się mleka i co najmniej dwa litry pełnego mleka ukradkiem przynieść rodzinie. Bardzo ciężką pracę stanowiło wyrzucanie z pod każdej krowy obornika i wykonanie tzw. obrządku. Praca w tym czasie pozbawiła czucia w palcach prawej ręki u mojej Mamy - spowodowane 42 krotnym dojeniem ręcznym krów. *obrazem*

Predsiadatiel nie mógł nadziwić się jednej i drugiej siostrze w pracy. Ciocia wychowała 14 cieląt, Mama jedno. Przybywało wreszcie "trudo - dni", a za każdy z nich otrzymywaliśmy 20 dkg mąki.

Oświadczenie naszych władz (NKWD)

NKWu - dzista przyglądając się pracy Polek w fermie Zara - ^{Swoboda} Szaba-
~~da~~ odezwał się cynicznie. "Już wkrótce staniecie się obywatelami
ZSRR". Starajcie się w pracy. "Stąd nigdy nie wydostaniecie się."

Powtarzano to nam już. "Im lepiej będziecie pracować - tym
korzystniej dla Was".

Zbuntowany wewnętrznie Tadzio - słyszał gdzieś o powstającym
Wojsku Polskim. "Idę do wojska i Was stąd wyciągnę" ["] powiedział.
Powstał Komitet Polaków, i łącznie z Rządem Polski, chociaż Pol-
ski jeszcze nie było.

Moja nauka została w szkole. Z chwilą przybycia do "Zary - ^{Swoboda} Szaba-
~~bady~~" zakończyłem edukację.

Zachowanym z Polski jedynym filmem Mama z Tadzkiem wykonali
tyle zdjęć dokumentalnych. Z trudnością film ten wywołali w Aktiu-
bińsku z narażeniem własnego życia - płacąc fotografowi za tą
usługę.

Zaradny Tadzio.

Tadzio dostaje pracę pastucha. Uczy się jednocześnie pilnie rosyj-
skiego w chwilach wolnych. Wesoły i zawsze kpiący ze swoich prze-
ciwników, próbuje wszystkiego.

Bywa woźnicą, tragarzem, wykonuje wszystkie prace jakie mu
powierza predsiedatiel. Jest lubiany.

Dlatego udaje mu się po drodze przynieść nam: to kawałek mięsa,
butelkę mleka. Zaprzyjaźnia się prędko ze wszystkimi. Opanowuje
także nieco język kazachów.

Opowieści kazachów.

Zyskując przychylność Kazachów Tadzio nam później opowiada czego się dowiedział,

Obchodzi się tu święto "bies - kunak".

Święto obchodzone na cześć idących w gości podróżników w miesiącu kwietniu. Nie doszli do celu zmarli zaszypani śniegiem podczas burzy śnieżnej (trwającej tu 10 - 15 dni) - *w tym roku*.

Na tą cześć zbierali się kiedyś wszyscy tubylcy przy wspólnym olbrzymim kotle do którego wrzucano całego poćwiartowanego barana, gotowanego razem ze sporą ilością łazanek. Wszyscy uczestnicy ucztowali razem wybierając z kotła gorące kawałki mięsa gołymi rękami.

I tak kocioł wędrował od sąsiada do sąsiada, aż święto i burza śnieżna nie minęła. To było niegdyś.

" Mieliśmy swoje duże stada kóz i baranów, krów, koni - mówili.

"Budowaliśmy jurty, wędrowaliśmy z miejsca na miejsce jako ludzie wolni, szczęśliwi i bogaci. Kwitł handel wymienny. Po rewolucji odebrano nam dobra, a nas zagnano do katorżniczej pracy w kółchozie.

Ci, którzy nie godzili się na to zostali rozstrzelani, lub zesłani do ciężkich prac na Syberii.

Wolni nazywali siebie kirgizami. Wyzwolonych nazywano Kazachami.

Nadchodził maj 1941 r. Coraz większa tęsknota nas ogarniała. Rozpoczynałem 9 rok życia. Poprzedniego dnia predsiedatiel mi powiedział "bierz się do pracy, u nas chłopcy pracują od 8 lat. Szkoła ci nie potrzebna".

Idziemy w step w 3 -kę, będę się uczył na pastucha. Tam czekają na nas nasi nauczyciele starsi pastusi.

Tadzio po drodze rozmawia z kazachem. Zbliżyliśmy się do ruin osady Czyjlin.

Stało parę walących się lepianek. Opodał w dole pasły się krowy, płynęło źródło czystej wody. Napiliśmy się jej. Rośnie jedyna akacja na całej dużej przestrzeni płaskowyżu. Bydło próbuje chronić się przed gzami w ruinach dawnych budowli. Kazach obejrzał się za siebie i spojrzął na słońce, i wyrzekł "muszę tam pójść". Wyjął zwinięty w rulonik dywanik kolorowy i wzorzysty ułożył koło kilku wzgórków i klęcząc na nim wielokrotnie kłaniał się. I myśmy się pokłonili. Zauważył to, podszedł do Tadzia i powiedział. "Tu leżą moi rodzice zabici przez władze rewolucyjne ZSRR, za to, że nie chcieli oddać swojej wolności i stać kołchozowi. "Widzisz wskazał - kiedyś ten duży step był nasz, tu mieszkali moi dziadkowie, pili kumys, jedli mięso, paśli stada, obchodzili "bies kunak". Jeszcze raz kazach padł na twarz, my również - należy się szcunek tak zmarłym. "Tu leży 7 osób wskazał dalej - moja rodzina zabita przez NKWD - nie płakał, mówił dalej, "Przychodzę przed zachodem słońca pokłonić się im. I nas smutek ogarnął. Powoli schodziliśmy w dół pozdrawiając pasterzy. Serce kazacha stało się dla nas od tej pory otwarte, a nasze dla niego, staliśmy się bliscy. Tu ze wzgórza rozciągał się piękny widok. Połacie kwitnących dziko tuli-panów. Bezbrzeżna dal stepu.

U podnóża rozciągał się pas kwiatów w błękitnawym kolorze. Tadzio określił odrazu "one wskazują nam Polskę", jednym krańcem swoich kwiatów. Łzy nam napłynęły do oczu. Kazach zdziwiony pyta "dlaczego", a Tadzio odpowiada "tam nasza Ojczyzna, którą nam odebrano". Zwrócił się do mnie, "nigdy o niej nie zapomnij, nigdy, bądź zawsze Polakiem".

Obiecałem - czułem się bardzo dorosły.

Patrząc na nas Kazach kiwał głową. My rozumieliśmy jego on nas.

Wracaliśmy, a każdy z nas szanował w milczeniu chwile 2 -ch różnych narodowości.

Jeden z kazachów poprzednio mi powiedział - "Największym uszanowaniem dla stepu jest cisza ludzi". Zapamiętałem mądrość słów.

Przedwieczorny śpiew ptaków osładzał nasze chwile. Wróciłem z kazachem do kołchozu. Tadzio pozostał w stepie paść bydło. Tam przenocuje.

SWOBODA
Kołchoz Zara - Szabada

Z około 5000 szt krów $\frac{1}{3}$ padła. Zdrowych pozostało około 170 szt. [?]
tak mówił prezydent.

Dojenie odbywa się w stepie. Smietankę zbierano z 300 litrów mleka wywożąc do fabryki masła w Aktiubińsku. Chude mleko pozostawało dla ludzi i cieląt. Czystość tu zachowywano. Nad higieną czuwały Rosjanki, BiałorusiNki, Ukrainki, skazane na 2 do 5 lat ciężkich robót. Mieliśmy pod dostatkiem kiziaku. Otrzymywaliśmy niewielkie ilości mięsa, mleka, czasem masła. W połowie czerwca rozpoczęły się sianokosy. Zatrudniono młodocianych. Praca nie szła. Trawy nie brakowało, nie miał kto jej skosić. Woły ciągnące kosiarki nie pojone uciekały do rzek. Nie uwiązane w nocy odchodziły daleko w step. Poszukiwano ich potem przez 2 - 3 dni.

Sprowadzono fachowców z Aktiubińska. Poza rozburzeniem starych budowli nic oni nie wykonali odjeżdżając. Teraz kołchoz nie miał gdzie schronić zwierząt. Pasły się całą wiosną, lato, jesień i zimą w stepie, dziesiątkowane przez wilki.

Piękno stepu.

Dla mnie step stawał się cudnym. Ukwiecony tulipanami. Przepojony zapachem kwiatów i rozświergotany ptaszynami, prześcigającymi się w trelach. Nad wieczorem rozpoczynał się koncert polnych koników i świerdczy zlewając się w jedną wspólną jakgdyby modlitwę stepową. Ten dźwięk nad różowym zachodem słońca i w purpurze stepowych traw powoli zanikał gasł, stając się w końcu dalekim mało słyszalnym echem.

Czyste poranne powietrze, wdychaliśmy z wielką rozkoszą. Po zniknięciu tarczy słońca, hen za horyzontem - kładły się warstwy mgieł. Niebo początkowo przybierało kolor fioletowo - niebieski jakgdyby z biegiem czasu wypełniając swoją kopułę w górę. W końcu przybierało kolor prawie granatowy usypując swój kobierzec miliardami jasnych mrugających gwiazd.

Duży księżyc wypływał majestatycznie, tworząc tajemniczą poświatę na stepie - jakgdyby pełną zagadek. Gdyby nie nasz niewolniczy stan to piękno nieskazitelnej jeszcze przyrody każdy wrażliwy człowiek może pokochać.

Nie dziwiliśmy się więc, że kazachowie rozścielali przed zachodem słońca (w dni wolne od pracy) derki i kładąc się na nich wsłuchiwali się w dźwięk unoszących się w stepie grupowym owadów, wydających bardzo słyszalne dźwięki, a przed snem tak jak my podziwiali piękno stepu.

Baty w stepie.

Teraz zasmakowawszy tego piękna, często wychodziłem w step, polowałem na susły stanowiące nasze pożywienie. Tadzio zabierał mnie w dalsze rejony ucząc paść krowy. Przy okazji uczyłem się wyrazów wielojęzycznych - zesłanych tu ludzi.

Parę kilometrów, czasem bliżej, tu przychodziły doić krowy Mama z Ciocią.

"Zawiedujuszczuj" - zarządzający interesował się moją nauką pasania bydła, mówiąc do Tadzia "chłopak podrośnie będzie pastuchem".

Nie przyjmował do wiadomości słów Tadzia "on powinien się uczyć". Powiadał "po co mu to - i tak tu zostnie^e, a liczyć stado nauczy się sam".

Siadając razem z Tadzkiem i chłopcami w wieku od 15 - 18 lat wysłuchiwałem opowieści o duchach gór, śpiewających pieczarach, zabijających gazów wchodzących tam śmiazków. O świecących dziwnie dalach stepowych nocą i innych budzących grozę zjawiskach.

Teraz wiem - opowieści ich pokrywały się z prawdą. Z pieczar okresowo wydobywał się trujący gaz i sam widziałem martwe wokół nich leżące ptaki. Przed trzęsieniem ziemi na Uralu na dzień do 2 -ch widoczna była emisja światła.

Obserwowałem kiedyś z wielkim strachem ^{o tym wspomnieli} będąc sam w stepie zjawisko podobne do Fata Morgany. Z dali zbliżał się do mnie olbrzymich rozmiarów jeździec na koniu unosząc się ponad stepem, aż znikł wkrótce niespodziewanie. Obserwując te zjawiska kazachowie stawali się zabobonni i przesądni.

Kazachowie nadawali też imiona własne od różnych rzeczy, nie dga-

jąc o ich sens. Zapamiętałem nazwisko: Abdarbiesow, Turubajew, Achmetalın, Ajzanow, Sigrındykow. Przyswoiłem i wyrazy poznając ich znaczenie np.

zakse - lit - dobry pan, kanak - paj - gość, rymszuk - różowy ser wygotowany z serwatki, kurt - kwaśny ser, szykir - cukier, marża - czarny nos, mężelka - żona, birszysz -daj, machan -mięso. 10 czerwca 1941 r. Znalazłem się w stepie, miałem zamiar odnaleźć Tadzia i paść krowy - tego trzeba się uczyć.

Wielki południowy żar stepu. Rozdygotane w wysokiej temperaturze powietrze, zmieniało kształty pagórków i kępy traw. Wielkie chóry polnych koników zanuciły. Bardzo wysoko krążyły orły - tam zapewne zimniej. Żółta szeleszcząca stepowa trawa, szeleszczące suche płatki tulipanów.

Zbliżała się pora obiadu.

Przyszedłem z Tadzkiem do stadła krów, zapoznał mnie z pastuchami. Miałem stać się ich pomocnikiem. Do stad krów szły pieszo dojarki. Stąd to 1 - 1,5 km. Do kołchozu "Zara" 6 km. Zostałem tu. Tadzio udał się do zarządzającego. Uczyłem się wsiadać na małego kucyka, wzbudzając śmiech pastuchów. Pokazali mi jak należy to czynić. Powtórzyłem próby - udało się.

Od strony "Zary" jechał jeździec, zbliżał się do nas.

W zielonej wojskowej rozpiętej bluzie, lat około 18 - 20, w rękę trzymał długi bicz.

Podjechał do nas. Spytał gdzie 2-gi pastuch ? Pokazał na mnie "pacan a ty kto". Odpowiedziałem "Polak" Zsiadł z konia i uderzył mnie w twarz, upadłem. Pastuch stanął w obronie, mówiąc "eto re-bionek" - to dziecko. "Nie zrywaj się" krzyknął "i ty dostaniesz".

Zaczął mnie smagać długim skórzanym biczem. Węzełki ciężły moją twarz, plecy, nogi, ręce.

Prosiłem "nie bij nic Ci nie zrobiłem!" A on krzyknął "ja Cię zabiję ty przeklęty Polaku. "Ja was wszystkich wytłukę". Bił nadal. Zacząłem uciekać w stronę dojarek. Wsiadł na konia próbował mnie stratować. Pastwił się z góry batem. Padałem, podnosiłem się, uskakiwałem, krwawiłem, twarz puchła, nie wiele widziałem na oczy. Biegając krzyczałem "spasajcie" - ratujcie.

Czułem ostatnie moje chwile. Resztkami sił postanowiłem walczyć o życie do końca.

Mój rozpaczliwy płacz słyszało wielu kołchoźników podczas obiadu. I oto zrozpaczony ujrzałem biegnącą ku mnie postać z kijem w ręku. Odległość zmniejszała się, oprawca jednak bił nadal. Wreszcie nadszedł ratunek. Kochana i najukochańsza Mama z czerwoną twarzą od zmęczenia, zlana potem dopadła sadystę. Instykt podpowiedział bić konia. Tłukła atakującego jeźdźcę z koniem po pyskach z nie-spotykaną siłą. Zaskoczony wróg Polaków komsomolec - teraz nie mógł sobie poradzić. Koń go już nie słuchał. Szaleńcze razy kijem odniosły skutek, bat oprawcy owinął się wokół ręki Mamy i został mu wyrwany. Teraz on nim dostał. Usłyszał straszne dla siebie słowo "zgłoszę Ciebie do NKWD pójdziesz do więzienia".

Teraz przestraszony popędził na oślep w step. Zarządzający zainteresował się pytając "co się stało". Nie pomagał mi jednak wrócić.

Wlokłem się obolały ze znajomym kazachem przez step a ten mi powiedział "zawsze bądź tam gdzie są 3 - 4 osoby - nikt Ci krzywdy nie zrobi, ten bolszewicki zbir mógł Cię zabić".

W dalszych słowach opowiedział mi jak zginął jego brat podczas spotkania sam na sam z nieznanym oprawcą w stepie.

Gorączkowałem i chorowałem 4 dni. Od tej pory idąc w step i

widząc zbliżające się osoby padałem pod kępy traw odczołgując się pod inne kępy. Pewnego razu upadłem obok żmij, mogłem przypłacić to życiem, ale one zachowały się łaskawie, odpełzając potem pod inną kępę.

O pracy pasterza nie mogłem dalej myśleć.

Malaria,

Pod koniec lipca 1941 r. dowiedzieliśmy się o napaści Niemiec na ZSRR. Podano datę 29.VI.1941 r. Zbieraliśmy kiziak. Często chodziłem na rzekę łowić ryby, różnymi sposobami. Do miski, na wnyk, do samołówki, na haczyk wykonany przez dziadka z gwoździa.

Przynętę stanowiły polne koniki i inne owady. Poprzednie dwie samołówki zostały skradzione. Zacząłem przynosić ryby.

Pozostali zbierali kiziak (Teresa, Justyna, Rysio). Pomagałem dziadkowi memu nosić kiziak. Słabł - padał raz po raz z workiem.

Od rozpoczęcia wojny z Niemcami nie otrzymywaliśmy żadnej korespondencji.

NKWD zabierało na przesłuchania niektórych kazachów, za odmowę pracy w stepie. Nie wracali z powrotem.

Część z nich chorowała, źle wyglądali, zabierano ich na przesłuchanie - też nie wracali.

Pewnego wieczoru, wraz z innymi dziećmi naszej rodziny poczułem się źle. Osłabienie, poty, zimno. Objawy zaczęły się nasilać, ~~czas~~ ~~następowania~~

Coraz częściej wykrzykiwałem zimno, potem gorąco i osłabienie; senność, silny ból głowy. Tak co dzień. Doszło do ataków powtarzających się co 10 - 15 minut. Kazachowie orzekli "Malaria - grozi

wam śmierć.

Znowu na jej krawędzi. Cóż to mogło ^{ob}chodzić przewodniczącego kołchozu. Babcia sprzedaje znowu potrzebne rzeczy, szukając rantunku. Potrzebna chinina.

I znowu poświęcenie ze strony Mamy. Uzyskuje wolny dzień. Idzie piechotą do Aktiubińska i z powrotem. Od świtu do nocy, Uzyskuje chininę. Ponad 100 km. pieszo w ciągu 3 dni. Z podróży przynosi jeszcze skarb - bochenek chleba. Oddaje chininę Babci, poleca mi podać. Przez pomyłkę dostaję potrójną dawkę odrazu po 3 tabletki, zamiast jednej.

Ujrzałem słońce niebieskie, a niebo czerwone. W obecności wszystkich wypowiadając słowa bez sensu, tracę przytomność i padam. Wkrótce porażony chininą nie mogę wypowiedzieć po odzyskaniu przytomności żadnego słowa, ale kojarzę - to zbliża się śmierć.

Przeżywam leżąc okropny ból serca, tracę chwilami oddech, duszę się, zapadam w jakąś czarną otchłań. Ta męka trwała kilka dni i nocy.

Pozostali zażyli dawki właściwe. Wreszcie ujrzałem nad sobą zapłakane ~~na~~ i zbolące twarze najbliższych i normalny świat.

Śmierć została pokonana. Malaria znikła bez ^{ślada} śladu. Pozostał wielotygodniowy dokuczliwy ból serca i ogromna słabość.

Nowi przybysze.

Przywieziono tak jak nas grupy rodzin rumuńskich z Mołdawii. Jechali tu 16 dni w bydlęcych wagonach, aresztowani podobnie. Główna grupa została osiedlona w Aleksandrówce. Mężczyźni nosili białe grube spodnie z frendzlami. Kobiety płócienne kolorowe spódnice, szyte z jednego kawałka płótna.

Odrazu zostali skierowani do żniw.

Koszenie i kiszenie trawy. Zebrano jej około 100 ton, zrzucając do dołu i ubijając gąsienicami traktora.

Nie przykryta przed deszczem do wiosny zgniła, zresztą to nie trawa, a mieszanka różnych śmieci. Ktoś zaproponował postawienie tablicy nad dołem z napisem "robotą na darmo".

Większość spała w trawie zamiast pracować. Powstała przy tym strefa piosenki białorusko - polskiej "hej w kołchozie dobrze żyć, jeden robić siem leżyć".

Jednemu z Rumunów powierzono nadzór nad zlewnią mleka.

Wkrótce nauczył się korzystać z niej. Początkowo kijem wyciągał na zewnątrz z kotła pasteryzowanego mleka tzw. "kożuch" potem małym kubeczkim umocowanym do tego kija mleko. Zobaczyłem to. Od tej pory dzielił się ze mną obawiając się represji w wypadku mojej niedyskrecji. Nauczył mnie do 10 -ciu liczyć po rumuńsku.

Cała 13 -to osobowa ich rodzina prawie wymarła w ciągu pół roku, pozostała jedynie sierotka 12 letnia dziewczynka. Obdarta, goła i bosa. Dochodziło do niewiarygodnych zdarzeń. W obliczu wielkiego głodu Rumuni łapali jedli motyle, pieczone na ogniu polne koniki. W kołchozie nie udało im się przy 2-ch osobach pracujących,

- *meżyc* -

Szanse powrotu do Polski

Dowiedzieliśmy się o powstaniu Polskiego Rządu Emigracyjnego w ZSRR. Na mocy porozumienia mieli zostać wypuszczeni z więzienia Polacy, a chłopcy od 17 lat, mogli zgłosić się do wojska. Stosowano przymusowy pobór do wojska pod koniec 1941 r. Z naszego kołchozu zabrano 8 osób w tym 4 Polaków do Armii Czerwonej.

Tadzio zdecydował się także, wolał walczyć niż tu umierać.

Pożegnanie.

6 październik 1941 r. mży deszcz. Kołchoz chętnym do wojska nie daje transportu. Kołchoz niechętnie pozbywa się młodych ludzi.

Tadzio zdecydował się. Spakował rzeczy w węzełku, miska, talerz, łyżka, parę kartek papieru zabranego z Polski, porwane spodnie, stare buty i garnitur nowy, kawałek opłatka, grudka ziemi polskiej w szmatce, oto cały ekwipunek.

Odmawiamy wspólny pacierz. Swit, mokre twarze i oczy. Dziadek z Babcią udzielają znakiem krzyża swojemu synowi błogosławieństwa na drogę.

Dla mnie to starszy brat prawie, odchodzi ktoś bardzo drogi. Mój nauczyciel, wzór, kolega i bohater odwagi tu w Kazachstanie. Płyną mi łzy po twarzy. Słyszę jedno słowo "masz mnie zastąpić tu nie poddawaj się".

Osemka uformowana w czwórki odchodzi, odwracają się do nas. Pożegnanie. 8 -miu ludzi śpiewa - głośno tu na obczyźnie.

Słyszymy głośne Tadzia "Jeszcze Polska nie zginęła". Biegniemy

za nimi daleko w step. Idą piechotą dziarsko. Błoto z tyłu ochlapuje ~~im~~^{im} ubranie. Poszli 52 km do Aktuibińska. Odczuliśmy wielki smutek. Bez tych zdecydowanych chłopców nie wiele teraz znaczymy. To oni w najgorszych chwilach grozy żartowali - stawiając czoła każdemu niebezpieczeństwu i przemocy. Kpili z trudów życia.

Powiat Tadzia

Zimno, płynące nisko ciemne chmury nad stepem. Listopadowy zmierzch. Jakaś sylwetka człowieka zbliża się do naszych lepianek, wlokąc powoli nogi. Zatrzymuje się przy naszej lepiance, otwiera wiklinowe drzwi. Zarośnięty, brudny, ze zwisającą odzieżą, strasznie wychudzony. Co to za obcy człowiek? pierwsza myśl nas gnębi. "Dzień dobry" odzywa się. Nie do wiary - Tadzio. W tamtą stronę przebył 2000 km z Aktuibińska do Uzbekistanu, ale nie znalazł żadnego formującego się oddziału Wojska Polskiego. Na dalszą drogę musiał zarabiać pracując na polach kołchozów. Podróż przeciągnęła się dla wszystkich ochotników. Tu na miejscu okazało się - - nic jeszcze nie ma. Rozczarowanie. Owszem są wyżsi oficerowie polscy, nie mają polecenia tworzenia jednostek. Ostateczne decyzje "wracajcie gdzie chcecie, do rodzin swoich, lub innych kołchozów - nie możemy wam nic zapewnić".

Tadzio jak opowiadał - nie ma za co wrócić. Nowiutki z Polski garnitur sprzedaje za 100 rubli. Głoduje, choruje na grypę nie może zarobić. Z trudem dociera do Aktuibińska, a stamtąd piechotą wraca znowu przez step do nas. Samotnie 52 km. Nasza radość nie ma granic.

Częstujemy go mlekiem i pyszką "Wspaniale być w domu rodzin-

nym powiada" i natychmiast zmęczony zasypia. Na następny dzień idzie do pracy w kołchozie. "Trzeba Wam pomóc" powiada - chociaż sam trzyma się ledwo na nogach.

Dyscyplina.

Zasypało śniegiem. Brak opału. Nie mamy obuwia ani ubrań. Nasi kołchoźnicy zatykają dziury w walonkach słomą.

Polujemy zmarznięci na burzany. Nie raz przemykają od nas o 10 - 20 m. Stoimy dalej. Przemoczeni wracamy do lepianki.

Nie wiele mamy opału.

Z frontu przybył do Zary Swobody jej mieszkaniec - teraz krasnoarmiejec. Odznaczony medalem - zuch opowiada o mroźących krew w żyłach przypadkach. O wybijanych "do nogi" żołnierzach niemieckich, strącanych masowo samolotach, wziętych jeńcach do niewoli.

Zapytany za co ma odznaczenie odpowiedział "za służbę ojczyźnie i Stalinowi". Uzbrojony w szablę, karabin, naboje, pistolet i iganaty - tu wyglądał na bohatera. Polecał co dzień karmić konia. Słyszeliśmy wyraźnie podchodzące i wyjące stada wilków. Te zwierzęta nie myliły się zapowiadała się zadymka, Nasz bohater oświadczył "przyjechałem na 7 dni i w terminie odjadę". Brygadier odradzał powrót Sieroży, proponował eskortę. Obiecał załatwić opóźnienie powrotu poprzez NKWD. Propozycje zostały odrzucone. Zaczęła się zadymka śnieżna. Sieroża mimo to wyruszył na koniu w powrotną drogę do Aktiubińska. Po dwóch tygodniach przyjechało NKWD. Szukać żołnierza - zaginął. Ustalano winnych.

Wiosną roku 1942 w odległości 7 km od naszego kołchozu, znaleziono szablę, medal z gwiazdą, część podkutego gwoździami buta -

- widocznie nie mogły strawić tego wilki.

Przeżyliśmy jeszcze jeden rok - to bardzo dużo.

Wielkanoc 1942 r.

Nasz kołchoz im. Czkałowa, do którego należała ferma Zara ^{Syrdar} ~~Sze-~~ bada nie zdążył zebrać z pola pszenicy jesienią 1941 r - pozostało pod śniegiem około 1/3 zboża. Część kłosów sterczała nad pokrywą śniegu, młócona przez ptaki, ale korzystać z nich nie wolno. Mimo obawy przed wilkami, szereg odważniejszych kołchoźników wybierało się po te kłosa. Dla postrachu zostali na polach przy zbiorze zastrzeleni. Metoda okazała się skuteczna.

Rumuni inaczej zbierali ziarno. Jedni wieźli je w dziurawionych workach do Aktiubińska, a druga grupa ścigając się t ptakami zbierała do kieszeni z drogi. NKWD i to wykryło, cała "winna " grupa ludzi więcej nie wróciła do nas.

Na Wielkanoc mieliśmy pozostawioną zaledwie kilka garści kaszy jaglanej.

Kilka plasterków słoniny z ostatniej paczki z Polski, pół bochenka chleba.

Czekaliśmy na ten wielki przysmak. Kaszę jaglaną z mlekiem. Z mleka w butelce ubiłem szczyptę masła. Miły zapach gotowanej kaszy wypełniał sieni i całą lepiankę, oczekiwaliśmy aż ostygnie. I nagle usłyszeliśmy tupot nóg w sieni. Wybiegliśmy. Garnek jeszcze dymiący stał pusty, a wysoki Rumun, przekładając naszą gorącą kaszę z ręki do ręki szybko się oddalał.

Na dnie garnka resztki. W jaki sposób zwęszył kaszę pozostanie tajemnicą.

Nasza wyprawa za nim z widłami nie przyniosła rezultatu.

Ponownie Tadzio idzie do Wojska Polskiego.

Tadzio ciągle marzył, żeby dostać się do Polski, chociaż wojna trwała z ZSRR, a okupacja w Polsce.

Ponownie spakował swój tłumoczek, pozostawił nam pisany pamiętnik i ruszył do Aktiubińska piechotą, ~~ponownie~~.

Teraz zabrał zarobionych nieco pieniędzy. Do stacji Huzar w Uzbekistanie Bucharskiej obłasti dojechał 17 kwietnia 1942 r. Tu przyjęto go do szkoły Junaków w tworzącej się Armii Andersa. Otrzymujemy pierwsze nieliczne listy, niektóre długo przetrzymywane przez ZSRR.

Nasze listy tam nie docierały. Tadzio w Armii Andersa spotyka się z wujkiem Jankiem Gilejko - jadącym ponad miesiąc z pod Wysp Kurylskich po zwolnieniu z więzienia.

Obaj nie wiedzą, że ich szwagier, a mój ojciec ~~Aleksander~~ Tu-miałowicz bierze także udział w kampanii wrześniowej 1939 r. następnie jest wśród powstańców Warszawy i przebywa także wywieziony do obozu przymusowej pracy w Niemczech.

Kłopoty z NKWD w 1943 r - aresztowani.

NKWD coraz częściej nas odwiedza, pytają o Tadzia. Kołchoz nie wypłaca nam należności za pracę, wymyślając różne powody. Wzmaga się rygor w pracy. Rozpoczyna się najcięższy rok na zesłaniu.

Rozpoczęliśmy starania o zmianę miejsca pobytu, składane są

prośby o wydanie tymczasowych paszportów warunkujących możliwość przejazdu z republiki do republiki.

NKWD przystępuje do represji i ataku.

Proponują przyjęcie obywatelstwa ZSRR. Doskonale wiedzą, że dwie dzielne Polki mają pod opieką 4 -kę dzieci, chorego ojca i niepracującą matkę.

Mama i Ciocia odmawiają mówią wprost "jesteśmy i będziemy Polkami". Zajeżdżają do kołchozu dwaj NKWu -dziści z nakazem aresztowania. Na oczach naszych zabierają c ostatnie żywicielki rodzin. Wyrok 11 dni aresztu, w odległym od nas o 38 km więzieniu.

Co dzień próbują zmusić do podpisania zgody, nieskutecznie. Straszą, że dadzą razem z mężczyznami do celi skazanymi za gwałty. Przestają dawać jeść informując "Cała ~~wsz~~^{WARSZA} rodzina wymrze z głodu". Pod takim przymusem godzą się dokument - zgody podpisać ale w późniejszym terminie. Wiedzą doskonale, podpisanie zgody równa się pozostaniu tu na zawsze.

Wynędzniałe, psychicznie zmaltratowane wracją 38 km na piechotę przez step. NKWD nie podwozi takich. Padał deszcz - jedliśmy ostatniego upolowanego susła.

Wieczorem w naszej lepiance stanęły dwie zczerniałe i chude postacie - zastają nas przy modlitwie na kolanach. Znów łązy szczęścia i powitania.

Ostateczna decyzja - uciec.

Zdawaliśmy z tego sprawę, NKWD - czy prędzej czy później wymusi przyjęcie obywatelstwa ZSRR.

Dręczyliśmy się szukając wyjścia.

Znaleźliśmy Polki patriotki, które za opłatą spowodowały "zagubienie naszych dokumentów".

Decydował dalej pośpiech.

Potrzebny "wyzow" z Polski " zaproszenie od wujka Stacha, o który prosiliśmy w wielu listach.

Bez tego dokumentu nie mogliśmy marzyć o żadnym powrocie. Nie wolno także przyznać się, że taki "wyzow" mamy.

Cztery osoby chorowało w naszej rodzinie, to był powód aby za własne pieniądze dostać zezwolenie na leczenie w Aktiubińsku. Z tamtąd przedostaliśmy się na podstawie nowego zezwolenia do Nikołajewa. Tu musieliśmy zostać trzy tygodnie żeby zarobić na dalszą podróż. Mamy już paszporty.

Smierć dziadka.

Ze względu na ciężki stan zdrowia dziadka /za lokum przydzielają nam świetlicę.

Z 14 na 15 października 1944 r. umiera dziadek. Jeszcze w dzień zapytany co by sobie życzył odpowiada "dojechać do Polski" i tam spróbować chleba." Żadne z życzeń nie zostało spełnione. Przy dziadku z godziny na godzinę słabnącym czuwaliśmy na zmianę.

Przy zapalonej świecy mijała północ. Modląc się dziadek na mnie patrzył dalekimi szklanymi oczami - strasznie go kochałem i nie mogłem usnąć. Dotykał mojej ręki ale nie mógł nic mówić. Głęboko westchnął i z ostatnimi słowami "Jezus Maria Józefie Święty znieruchomiał w dniu imienin swojej córki (mojej Mamy). Wszyscy pozostali spali - gwałtownie przestraszony budziłem.

To już trzecia śmierć zesłańców w naszej rodzinie.

W Nikołajewie szykowaliśmy pogrzeb.

Stał nieczynny kościół, z zerwanymi schodami. Stało się jednak coś dziwnego. Podczas opuszczania trumny do dołu 3 -krotnie zadzwoniły dzwony. Chociaż nikt ich nie mógł uruchomić.

Po raz trzeci Babcia wyjęła czarną grudkę ziemi z Polski i wyszeptala " z prochu powstałeś w proch się obrócisz ".

Bliżej Polski.

Pozwolono nam dalej jechać w stronę ^{Lwowa} ~~Szowa~~. Od czasu do czasu z powietrza jeszcze Niemcy nas ostrzeliwali niespodziewanie. W okna powtykaliśmy szmaty i poduszki. Byli ranni w innych wagonach.

Tu mogliśmy już pokazać "wyzow" i żądać powrotu do Polski. Jechaliśmy za własne pieniądze. We Lwowie dzięki komisji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i Związku Patriotów Polskich otrzymaliśmy "propusk", ale kierują nas jeszcze do pracy w polu przy żniw~~ych~~ w sowchozie Telman. Potrzebne ręce do pracy. Znów pracują Mama i Ciocia rok. W sowchozie brak wody pitnej. Istnieje staw ale nie-
możliwie zanieczyszczony. Wodę dowozi się beczkowozami, wydziela się racje na co dzień.

Zarząd sowchozu nie chce nas wypuścić, piszemy do Związku Patriotów Polskich we Lwowie skargę, przedstawiając nasze warunki. Brak argumentów by nas zatrzymać.

Powrót do Lwowa.

Wychudzeni w sowchozie Telman - wyjeżdżamy wreszcie z powrotem do Lwowa, otrzymując tu lokum - zbiorowe prycze. To nic, że pełne plu-skiew, Polska niedaleko.

We Lwowie przebywamy trzy miesiące pod opieką Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Spotykamy masę Polaków wracających do Polski. Przebywa także z nami począwszy od Nikołajewa - samotny bezdomny Polak 83 letni o nazwisku Krężolek. Liczy tylko na naszą pomoc.

Zarobione pieniądze w sowchozie Telman nie starczały na życie.

Wreszcie dysponujemy wszystkimi dokumentami potrzebnymi do prze-kroczenia granicy polskiej.


Witaj Polsko !

Po prawie sześciu latach poniewierki i tułaczki, około 16 listopada 1945 r. bez pieniędzy, odzieży, żywności jako niezwykle szczęśliwi - - przekraczamy rzekę Bug i dojeżdżamy do Lublina. Tu też dzięki PCK zjadamy pierwszy polski prawdziwy obiad. Zostajemy umieszczeni w barakach na Majdanku - miejscu po niedawno wymordowanych więźniach. Nasz dom odebrany przez NKWD w 1940 r. pozostał w Hancewiczach.

Jeszcze przez wiele lat musimy się uczyć bardzo intensywnie języka polskiego. Przez wiele dni próbowano nas zrusyfikować - bez-skutecznie.

Wreszcie jesteśmy w naszej ukochanej Ojczyźnie. Łzy radości i i szczęścia na naszych twarzach.

Lublin, 12.12.1990 r.

Jan Stanisław Tumiłowicz
Aleje PKWN 8/78
20 - 612 - Lublin. 

© ARCHIWUM HISTORICUM

Lista członków rodziny aresztowanych przez NKWD i wywiezionych
do Kazachstanu od 11.IV.1949 do 13.IV.1940 r. z miejscowości
Hancewicze.

Lp	Nazwisko i imię	Wiek w czasie areszt.	Pokrewieństwo z autorem	Data aresztowania	Miejsce aresztowania	Dokąd wywiezieni	Uwagi
1	Bubień Emilia	54	babcia	13.IV.1940 r	Hancewicze	Kazachstan	zmarła 13.VIII.1971
2	Bubień Józef	67	dziadek	13.IV.1949 r	Hancewicze	Kazachstan	15.X.1944
3	Bubień Tadeusz	15	wujek	13.IV.1949 r	Hancewicze	Kazachstan	żyje
4	Tumiłowicz Jadwiga	28	matka	11.IV.1940 r	Hancewicze	Kazachstan	żyje
5	Tumiłowicz Justyna	5	siostra	11.IV.1940 r	Hancewicze	Kazachstan	żyje
6	Tumiłowicz Teresa	4	siostra	11.IV.1940 r	Hancewicze	Kazachstan	żyje
7	Tumiłowicz Helena	5 m-cy	siostra	11.IV.1940 r	Hancewicze	Kazachstan	zmarła 22.IX.1940
8	Tumiłowicz Jan Stanisław	6	autor	11.IV.1949 r	Hancewicze	Kazachstan	żyje
9	Gilejko Jan	30	wujek	25.IX.1939 r wyw.10.II.40	Stołpce	Kałyma 8 lat więz.	zmarł
10	Gilejo Łucja	27	ciocia	13.IV.1949 r	Hancewicze	Kazachstan	żyje
11	Gilejko Ryszard	2	brat cioteczny	13.IV.1940 r	Hancewicze	Kazachstan	żyje
12	Gilejko Zbigniew	4 m-ce	brat cioteczny	13.IV.1940 r	Hancewicze	Kazachstan	zmarł 16.VIII.1940

Po 50 latach milczenia zdecydowałem się napisać wspomnienia.

Tym wszystkim, którzy zechcieli je przeczytać poświęcam swój wiersz.

D a r

Gwiazdami z promieni słonecznych,
tych chciałbym obdarzyć,
którym smutki nie gasną.

Dać im uśmiech serdeczny,
radość jasność
O tym marzę, co dzień "wiecznie".

J. Tumikowicz

© ARCHIWUM KSIĄŻKI